

# TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 60.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 5/17 listopada 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

## TREŚĆ NUMERU.

Karol Kosicki (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Kronika sztuk pięknych. — Wieliczka (z czterema drzeworytami) dokończenie. — Nowy kościół na Woli pod Warszawą (z drzeworytem). — Przegląd piśmienniczy. — Kościół ks. dominikanów pod wezwaniem św. Jakuba w Sandomierzu (z drzeworytem). — Zadanie konikowe do nagrody. — Rebus. — Hrabianka Dynia, obrazek skreślony przez Teod. Tom. Jeża (dalszy ciąg). — Korrespondencya od redakcyi. — Sprostowanie. — Doniesienia.

## Karol Kosicki.

Dając w Nrze 48 Tygodnika życiorys Józefa Lompy, wymieniliśmy w gronie ludzi zasłużonych w dziejach języka polskiego na Szląsku nazwisko Kosickiego (Koschützky). Dziś mamy zamiar pomówić nieco obszerniej o tym najgorliwszym i najdzielniejszym, bo posiadającym najrozleglejsze ku temu środki, opiekunie języka polskiego w części Szląska, zostającej pod pruskim panowaniem, i skrócić czytelnikom w kilku rzutach obraz działalności jego w tym kierunku.

Rodzina Kosickich od wieków na górnym Szląsku jest osiedloną. Jedną gałąź tej rodziny pisała się: z Zakrzewa i w różnych powiatach aż do roku 1720 posiadała dobra. Z tej właśnie gałęzi pochodzi Karol Kosicki. Siedliskiem dziada czcigodnego patryarchy orędowników języka ojczystego na Szląsku, była wieś Ciasno w powiecie lubienieckim, gdzie i ojciec jego aż do roku 1790 przemieszkiwał. Nasz Karol urodził się w Roszkowicach pod Byczyną, w powiecie kluczborskim r. 1788. Ojciec jego, sprzedawszy dobra Ciasno i Jeżową, nabył r. 1790 od księcia Henryka pruskiego dobra Uraz (Auras) pod Wrocławiem i przeniósł się tam z rodziną na mieszkanie. W owym czasie okolica Uraza była już niemiecką, i z tego powodu młody Kosicki mało miał sposobności ćwiczenia się w rodzinnej swą mowie. Oddany następnie do szkół niemieckich w Wrocławiu, zupełnie prawie języka polskiego zapomniał. Późniejsze jednak okoliczności zrzuciły, że Kosicki w latach od 1811 do 1818 przebywał w Polsce, a na ostatku pod Krakowem. Tu uczył potrzebę nauzenia się języka ojczystego. Odziedziczywszy wkrótce w polskiej części górnego Szląska wieś Wielkie Wilkowice, począł rozglądać się pilniej koło siebie i spostrzegł zbyt małe, w stosunku do potrzeby, uwzględnienie mowy ludu polskiego swą prowincyi, dochodzące do tego stopnia, że w Tygo-

dnikach regencyjnych postanowienia rządowe, dawniej w dwóch językach ogłaszane, drukowano tylko po niemiecku.

Odąd Kosicki stał się najczynniejszym orędownikiem ojczystej swą mowy na Szląsku, występując ciągle w jej sprawie po różnych czasopismach i gazetach; po wstąpieniu zaś na tron pruski (w r. 1840) Fryderyka Wilhelma IV, rozpoczął na drodze legalnej starania o równouprawnienie ludności polskiej z niemiecką, pod względem mianowicie języka. Zbiór urzędowych dokumentów w tej sprawie, Kosicki nie-

było podanie do rządu na początku roku 1841, na które odmowną otrzymał rezolucyą. Skutkiem tego wystosował obszerny memoriał do naczelnego prezydenta prowincyi, pana Merkel, przytaczając że na 16 powiatów regencyi opolskiej, 13 jest czysto polskich, zamieszkałych przez ludność przeszło 700,000 głów wynoszącą, a nieznającą wcale języka niemieckiego. W memoriale tym przedstawiał także potrzebę wykładania nauk w języku polskim w szkołach elementarnych i ogłaszania postanowień rządowych w dwóch językach, niemieckim i polskim. Gdy jednak podanie to nie otrzymało skutku, Kosicki w lat kilka ponowił starania o uwzględnienie potrzeb ludności polskiej na górnym Szląsku, tudzież o stałe dołączanie do Tygodnika regencyjnego w Opolu dodatków w języku polskim. Kwestya ta, przez różne przeprowadzane instancje, długo pozostawała w zawieszeniu i dopiero w marcu 1850 r. zjawił się pierwszy dodatek polski do Tygodnika, a po nim drugi w kwietniu tegoż roku. Na tém jednakże skończyło się, w ciągu bowiem następnych lat siedmiu ani jednej litery polskiej nie wydrukowano.

Wtedy niezmiernie Kosicki, pragnąc choć w części zaradzić naglącej potrzebie, począł wydawać własnym nakładem i rozsyłać bezpłatnie po gminach czasopismo polskie p. t. *Poradnik dla ludu górno-szląskiego*. Celem tego pisma było wyłożenie ludowi najpotrzebniejszych dla niego postanowień i przepisów, oraz obznajmianie go w sposób przystępny z ważniejszymi sprawami gospodarczymi i rzemieślniczymi. Treść artykułów sam Kosicki, nie władając dostatecznie ojczystym językiem, układał po niemiecku; tłumaczyli je zaś nauczyciele Smolka w Bytomiu i Lompa w Lubczy. Pismo to wychodziło w latach 1851, 52 i 53, miesięcznie jeden arkusz, po 3000 egzemplarzy. Prócz tego rozesał Kosicki tysiąc egzemplarzy drukowanych własnym kosztem, a tłumaczonych przez Lompę „Przestróg względem kar za przestępstwa leśnicze i t. p.“

W listopadzie 1854 r. wystąpił znów z żądaniem tylokrotnie wzmiankowanego dodatku do Tygodników regencyjnych, którego nie przyjęto, pod pozorem że wydawanie jego kosztowałoby około 3000 talarów. Kosicki natychmiast ofiarował się podjąć wydawnictwa dodatku za 300 talarów, to jest za 1/10 część tej

dawno ogłosił drukiem (\*); z broszurki tej przeto wyciągamy niektóre szczegóły działań jego dotyczące.

Pierwszém wystąpieniem Kosickiego w tej sprawie

(\*) Verhandlungen und authentische Aktenstücke, betreffend die Sprachen-Frage in Preussisch-Oberschlesien, aus den Jahren 1839 bis incl. 1859.



KAROL KOSICKI.

Toczyła się czas jakiś korespondencya, a której już miano w r. 1856 udzielić Kosickiemu upoważnienie do redakcyi, wydawania i rozsyłania pomienionych dodatków, gdy niespodzianie regencya oświadczyła, że sama zajmie się tą sprawą. Jakoż w ciągu r. 1857 wyszło pięć numerów dodatku, po 1600 egzemplarzy; lecz tych po gminach nie rozsyłano, i znów dwuletnia nastąpiła przerwa.

Ostatecznie wszakże w r. 1859, po objęciu rządów przez księcia regenta i zmianie ministerstwa, otrzymał zapewnienie, że długoletnie starania jego stanowczy odnoszą skutek, rząd bowiem rozkazał regularne wydawanie miesięcznego dodatku polskiego do Tygodnika urzędowego regencyi opolskiej.

Tak daleko sięgają dokumenta przez Kosickiego drukiem ogłoszone. Wiemy że dodatek zaczął istotnie wychodzić; czy jednak wychodzić będzie regularnie i jaki los nadal go spotka, — przyszłość dopiero okaże.

## Kronika tygodniowa.

Biały koń zawitał do nas przed jeźdźcem; wróżą ztąd silną zimę.

Kości gęsie piersiowe, wszystkie prawie w sinobiałym wpadały kolor; wróżą ztąd silną zimę.

Mróz przychodzi stopniowo, zwolna, z przestankami i bardzo nieznacznie idzie w górę; wróżą ztąd silną zimę.

Wszyscy fanciarze, którym niejedni z młodzieży futra do przechowania na lato oddali, drożą się ogromnie z procentami i co do grosza całej wypłaty żądają; wróżą ztąd silną zimę.

Damy wymyśliły modę kapeluszy, w których im zimniej będzie niż kiedykolwiekbądź, oraz ogonów do sukien, bardzo wygodnych na śnieg i grudę; a ponieważ, jak dawno wiadomo, moda damska lubi wszystko robić na wywrót, więc wróżą i ztąd silną zimę.

Słowem tyle tych wróżb na raz się składa, że zaiste trudno nie wierzyć, i trzeba ile możności przewidować się w waty i futra, póki czas jeszcze.

Dawniej był u nas zwyczaj, że czeladź wszelkiego rodzaju, dopóki nie zjadła gęsi święto-marcińskiej nie czuła się obowiązana do pracy przy świetle. Jak św. Jan chrzczył wodę, tak św. Marcin uświęcał ogień, żeby nie szkodził oczom tych, których obowiązek dłużej przytrzymywał przy warsztacie. A że każda rzecz taka opłacała się u nas gościńcem, więc gęś w porę przychodziła.

To dzielenie się darami Bożemi z czeladzią i domownikami, kilka razy na rok, wszędzie ma u nas miejsce. A bierze ono swój początek z saméjże natury naszego społeczeństwa, które tyle cech rodzinnych zachowało w sobie.

Ale do czegoż to nas święto-Marcińska gęś doprowadziła? Czytelnicy gotowi nas posądzić, że chcemy im robić jakieś bardzo szerokie wywody o zwyczajach i obyczajach dochowanych u nas na każdą z kolei uroczystości; a przedmiotu do gawędy nie zabrakłoby, bo i uroczystości tych niemało. Wolój więc dać temu pokój i przejść do innego przedmiotu.

Bo prawdę mówiąc, czy nie stokroć lepszym jest i użyteczniejszym od tych wszystkich rozumowań, przysłuchiwanie się w resursie wykładom professorów naszych? Wykłady te na rok bieżący, licznym zbieraniem się słuchaczy dowodzą, że już nietyle nowość ich tam ściga, ile uznanie rzeczywistej potrzeby a pożytku. Nazajutrz po takich wykładach można słyszeć mnóstwo osób rozmawiających o nich, komentujących słowa professora, dziwiących się samym sobie, jakim sposobem dotychczas mogli pozostać obcymi postępom nauki, odkryciom cywilizacyi. Rzeczywiście, nie do uwierzenia prawie, jak u nas mało zajmowano się choćby najdostępniejszymi przedmiotami naukowymi. Wiele rzeczy, gdzieindziej dobrze już znanych i zbadanych, zupełną jest nowością dla nas. Prawda, że za to przez te kilka lat ostatnich w nauce preferansa i gieryłsza wyprzedziliśmy inne narody. W tej gałęzi nauk ścisłych, znajdują się u nas mistrze nad mistrzami, zaprzeczyc temu trudno. Chlubnie to i pięknie, ale możnaby przytém i winnych gałęziach wiedzy ludzkiej iść na równi z postępem wieku.

Oto na przykład dzienniki donoszą nam, że w Węgrzech postanowiono kosztem narodowym wydać tłumaczenie Szekspira w języku madziarskim. Za każde tłumaczenie płać premium do wysokości 200 zlr., a oprócz tego cały dochód ze sprzedaży dzieła przechodzi na tłumacza. Pojmujemy, że tego rodzaju narodowe usiłowania mogą zbawiennie wpłynąć na rozwój literatury. U nas kilku pracowników chciało własnymi siłami przysłużyć się krajowi tém wiekopomnym dziełem; ale starania ich rozbiły się, jak zwykle, o oziębłość publiczną. Z rozpoczętych tłumaczeń Szekspira zaledwie paręset egzemplarzy zdołano sprzedać, co i na kosztą druku nie starczyło. Publiczność u nas przejęta jest tą ewangeliczną zasadą, że kiedy opatrność Boża czuwa nad najdrobniejszą ptaszyną, nad najmizerniejszym robaczkiem, to nie zapomni także i o piśmiennictwie. Więc opiekowanie się wszelkimi nowymi pojawami i usiłowaniami w literaturze naszej pozostawia opatrności Bożej, a każdy swojego rubla zaciska dobrze w kieszeń, żeby mieć za co kupić sobie ostryg, cygar, albo tych zamorskich przysmaków, w które coraz bardziej obfitują doniesienia. To daleko gruntniejsze, smaczniejsze i pożyteczniejsze od jakiegoś tam Szekspira.

Zróbmy, jako przykład, małe wyrachowanie. Sądzę że na kilka tysięcy właścicieli domów w Warszawie, jest z tysiąc takich, których względnie zamożnymi nazwać się godzi. Oprócz tego możnaby zliczyć parę tysięcy takich, co na pierwszych piętach w tych domach mieszkają, i stosując do tego cały stan swojego utrzymania, żyją na dostatniej stopie. A nie mówię już o właścicielach sklepów, zakładów przemysłowych i innych mieszkańcach, którzy z prawa do klasy zamożnych winni się liczyć. Każdy z takich rocznie najmniej dwa do trzech tysięcy rubli wydaje na siebie. Czyżby to było rzeczą tak niepodobną do skutecznienia, żeby każdy z tych panów posiadał na własność małą biblioteczkę i ciągle ją sobie dopełniał? Niechajby to kosztowało na rok część tego, co trzeba zapłacić krawcowi albo modniarce, co kosztują śniadania w mieście i przyjęcia różnego rodzaju w domu, jak wiadomo dosyć u nas zbytckowne. Więc nie przesadzam jeżeli sądzą, że na samą Warszawę każdego użytecznego i wyższej wartości dzieła, mogłoby się rozejść przeszło tysiąc egzemplarzy. Przeczytajmy rejestra bibliograficzne u nas. Gdyby nawet chcieć zakupywać wszystko co wychodzi rocznie trochę więcej uwagi godnego, licząc do tego już i prenumeratę pism peryodycznych, stanowiłoby to nie więcej jak tysiąc złotych na rok dla jednej rodziny. Gdybyśmy tylko szczerze obliczyli, ile to pozycy budżetowych u nas przechodzi tę cyfrę, to pewnie nie śmielibyśmy nieraz tak otwarcie wyznawać jedni przed drugimi, że beużytecznie marnujemy tyle pieniędzy. Bo jak przyjdzie książki kupować, to każdy skarży się na biedę, na drożyznę tych książek. I zaprawdę, okropna ta drożyzna! Tom nowego dzieła kosztuje u nas tyle, co pudełko sardynków, co kosz piwa bawarskiego, co butelka angielskiego portera, co ćwierć butelki szampańskiego wina, co dziesięć dobrych cygar, co płatka bez dwóch po groszu w preferansa, co jeden pobyt w cukierni, albo dziesiąta część śniadania w handlu winnym. Okropna, niewysłowiona drożyzna! Sprowadzają u nas skrzyniami całemi gruszki francuzkie po pięć złotych jedna, a prosta rzecz że kiedy je sprowadzają, muszą one znajdować kupców. Ileż to dzieł za cenę kopy takich gruszek zakupić można!

Wiem dobrze, iż u nas nie lubią prawdy, że gniewają się na tych, którzy nie idą za owczym zwyczajem pochwalania i wynoszenia pod obłoki wszystkiego co robimy, choćby to wszystko w rzeczy było najnaganniejsze. Lubimy chwycić się lada cienia dobrej woli, lada drobnego objawu, który gdzieindziej byłby uważany za prosty obowiązek, a u nas uchodzi za cnotę. Tak jest, do tyła są zamącone dotychczas u nas wyobrażenia, że proste dopełnienie powinności za wielkie sobie poświęcenie uważamy.

O przykłady bardzo łatwo. Z prywatnych składek stanął u nas Instytut muzyczny; bardzo to pięknie, chwalebnie, zaszczytnie; cieszymy się z tego, wszystkie pisma temu przyklaskiwały i miały słusność. Ale dla wieluż to osób ten instytut stał się wymówką od tysiąca innych koniecznych i bardzo potrze-

bnych wydatków. Dałem kilka rubli na instytut, mówi ten i ów, czegoż chcecie odemnie? Wszakżem się wywiązał z długu, jaki każdy obywatel względem dobra krajowego zaciąga; już niczego odemnie nie powinniście żądać, bo nie mogę się przecież ruinować dla kraju. Ktoś opuszcza karciany albo hulacki wieczór, dla jakiegoś mniej więcej potrzebnego zebrania. Dopieroż go posłuchaj! Co to on robi, jakto pracuje, niema chwili jednej spokojnej, ta posługa krajowa zabija go, krew, życie i majątek mu wysysa. Inny znów kupił za kilkaset złp. obrazek, albo wygrzebał gdzieś jaką starożytność, którą mu na wpół darmo Żydzi odstąpili. Ani przemów do niego! To już jest protektor sztuk pięknych i nauk. On do niczego nie obowiązany, on ma swoją specjalność, dla której życie poświęcił, życie, które powinno być złotemi literami w księdze dziejów krajowych wypisane. I jakże mu się dziwić? Pisma publiczne brzmią jego pochwałami, nazywają go miłośnikiem rzeczy ojczystych, ozdobą kraju, chlubą pokolenia naszego. A czytelnicy tłumaczą sobie w duchu: Kiedyś ten wielki, to i ja niemały; i ja złożyłem kilka złotych na pierścień dla kogoś, co dobrze tańczy, dałem rubla na śniadanie, na którym miano uczcić wielką jakąś zasługę i umyślnie wiérze i toasty *ad hoc* robiono, a przedewszystkiem wiele mówiłem i mówię ciągle o poświęceniu i dobru publicznem. To są nasze zasługi, to są czyny, które się wplatają w wieniec spraw naszych publicznych!

Ale poczekajcież; trzeba przecie znaleźć coś do chwalenia, bo gotowicie się wszyscy zarzec czytania mojej kroniki, jeżeli choć jednym karmelkiem nie potrafi ona polechtać waszej miłości własnej. Dalej, zróbmy rachunek: cóżemy sprawili, cośmy wykonali, jakim wielkim dziełem błysnęliśmy w oczy słońcu cywilizacyi europejskiej, jakim szczeblem wyżej stanęliśmy na drodze postępu? Oto: mnóstwo osób zwiędza ciągle obraz Simmlera na wystawie krajowej; mówiłem już o tém w przeszłym tygodniu, ale powtarzam jeszcze, bo każda z tych osób poświęca dla dobra sztuki krajowej złotówkę, a to tak rzadkie w tych czasach, że nie żal pod obłoki wynosić. Zwłoki Edmunda Wasilewskiego w Krakowie do nowego przeniesione zostały grobowca; i to musiało także coś kosztować. Roboty około gmachu resursy Nowej na przyszły rok z podwójną wznowią się gorliwością; coraz więcej sklepów oświeca się gazem, co dowodzi że oświecenie idzie w górę, i jeżeli tak dalej pójdzie, to wieczorną porą Warszawa wkrótce przypominać będzie Paryż. Ale... jakiś restaurator ogłasza, dla dobra publicznego, po złotówce obiady, i w Kuryerze występuje przeciwko zawistnym, którzy nie mogą pojąć jego poświęcenia. Tak to każdy wielki czynnik nierzadko zawsze oczernić gotowa! Ostrygi świeżuteńkie sprzedają już u nas po kopiejek cztęry sztuki. O ludzkości! jakżeś szczęśliwa! O Warszawo! jak wysoko już stanęłaś w gronie miast europejskich! Dano parę obiadów składkowych i bardzo pięknie przemawiano na nich; widać że dar wymowy nie zaginął u nas. I nic dziwnego, kształciliśmy go przy szampanie, a wiadomo że on rozwiązuje języki. Znaleziono gdzieś starożytne jakieś sprzęty zakopane w ziemi: zasługa wielka dla tych co wykopalni a nie stłukli, zasługa dla tych co opisali, zasługa dla mnie, który powtarzam te wielkie czyny, zasługa dla was, którzy to czytać będziecie. Podajmy więc sobie ręce: spełniliśmy miarę wysokiego powołania naszego, jesteśmy zadowoleni z siebie, a w tém leży całe szczęście.

Czyliż to wszystko co powiedziałem nie starczy za wytłumaczenie panu G\*, że jego wielkiego przedsiębiorstwa dla dobra kraju nie mogą podtrzymywać w mojej kronice? Raz na zawsze upraszam o uwolnienie mnie od chwalenia wszelkiego rodzaju spekulacyi, choćby najlepiej sfałdowanym płaszczykiem dobra publicznego okrytych. Jeżeli dobrze pomyślane i trafiają w smak publiczności, noszą one już same w sobie zaród powodzenia dla przedsiębiorcy.

Nad smutnym wypadkiem pana Kr\*\*, który nie wie jak się zemścić za obelgę od kobiety doznanej, boleję, ale nie potrafię mu radzić. Niechaj czyta jak w takim razie postąpił sobie Franciszek I, król francuzki, na balu maskowym.

Z powodu zamieszczonego w Nrze 58 naszego Tygodnika sądu o dwóch zapowiedzianych świeżo publikacjach, t. j. o *Skarbczyku polskim* i o *Zbiorze powinszowań*, a raczej o ich prospekcie, wydawca, pan Nowolecki, przesłał nam obszerną reklamacyą, w której przytacza między innymi: że drzeworyty, aby się dobrze wydały, potrzebują pięknego papieru i wyjątkowo starannego odbicia, o co trudno w pospiesznym druku prospektu, w kilkukunastu tysiącach egzemplarzy; że wyjście dopiero samego dzieła przekonania, czy *Skarbczyk* obu tym warunkom zadosyć uczyni i t. p. Rzeczywiście p. Nowolecki okazał nam kilka form początkowych *Skarbczyka*, na ładnym papierze i z drzeworytami wcale starannie wykonanymi; możemy więc tej książce wróżyć zasłużone powodzenie. To jednak nie osłabia bynajmniej zdania naszego kronikarza, który nie przesądając o dziele, jeszcze na widok publiczny nie wydanem, ocenił sam tylko prospekt. W dalszym ciągu swój protestacy p. Nowolecki staje w obronie *Zbioru powinszowań*, starając się udowodnić praktyczną użyteczność tego dziełka i zasłaniając się przykładem piśmiennictwa zagranicznych. Musimy tu wszakże zwrócić uwagę szanownego wydawcy, że to co dla Francuzów, Niemców i Anglików, przy ogromnym we wszystkich kierunkach rozwoju literatury tych narodów, może być znośnem a nawet pożądanem, u nas rzeczywiście (według słów naszego kronikarza) „napróżno druk i papier zajmuje.“ Wiele, bardzo wiele jeszcze pozostaje nam do zrobienia, pocóż więc marnować siły na wydawnictwa nieszkodliwe wprawdzie bezpośrednio, lecz jałowe i mogące chyba zaspokoić tkliwe pragnienia kochających papów i mam, którym recytowane z książki deklamacye imieninowe słodkie łyż rozrzewnienia wyciskają.

## KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

### MUZYKA.

Przebiegłszy znaczną część Europy, w celu poznania z bliska artystycznych zasobów, jakimi ona obecnie w sztuce muzycznej rozporządzać może, w znacznej części doznaliśmy zawodu i rozczarowania nawet. Wszędzie jedno i to samo daje się słyszeć narzekanie, spowodowane istotnym brakiem utalentowanych śpiewaków i kompozytorów. Jeżeli muzyka czysto instrumentalna, pod względem ogólnego wykonania, doszła w niektórych miastach Francji i Niemiec do nadzwyczajnej doskonałości, to i tak nawet utwory dawniejszych klasycznych mistrzów są główną podstawą jej codzienną produkcji; żaden porządny program obejść się bez nich nie może, a imiona nowszych kompozytorów, z wyjątkiem Berliozy i Wagnera, nie godnego uwagi nie przedstawiają zgola.

W teatrach rzeczy się mają jeszcze gorzej; dyrekcje, usiłując szczerze zapewnić finansowe korzyści swjej kassie, zmuszone są uciekać się o pomoc do dawnego repertoaru, wskrzeszać dzieła od lat wielu już zapomniane, ażeby przerwać choć na chwilę jednostajność widowisk, monopolem imienia Mejerberowskiego uświęconych. W Niemczech łatwiej jeszcze przychodzi temu zaradzić, bo środki artystyczne tego obszernego kraju nie są tak zcentralizowane, jak we Francji, więcej u nich samoistności, rozmaitości, więcej bogactwa, a utwory Wagnera na każdym z większych teatrów dobiły się już praw obywatelstwa. Ale Paryż, ze swemi kilkoma lirycznymi scenami, niezbyt pocieszający w tym względzie widok przedstawia. W owej potężnej niegdyś świątyni sztuki, dumnej ze swojej przeszłości, znaczenia, powagi i wyroków, w owej wielkiej operze, co dziś spragniony nowości słuchacz posłyszysz? Nic. Może opera włoska, ta najwdzięczniejsza dla muzycznych dusz czarodziejka, zanuci im melodyą? Nie. Więc w operze komicznej, w tym niewyczerpanym zdroju dobrego humoru, w tej nieprzebranej kopalni dowcipu i lekkiej jak koronkowe tkaniny muzyce, znajdziecie to może, co wasz umysł ponęta nowości owionie, co go odświeży w słów i tonów igrasce? Nie. A zatem w teatrze lirycznym niechybnie ją znajdziecie, bo on przecie powstał w naszych czasach, zaledwie lat kilka istnieje? Gdzie tam, nie! nie! i nie! Rossini, Mejerbeer i Auber; Auber,

Mejerbeer i Rossini, oto świeczniki od lat dawnych przyświecające swym przygasłym już nieco blaskiem liczny'm teatrom paryżkim; a jeżeli obok nich ukazują się, jak błędne ogniki, imiona innych kilku kompozytorów, to tylko chwilowo, ażeby się ukryć na dłuższy lub krótszy czas w ciemnej krainie niełaski lub zapomnienia.

Tak się obecnie rzeczy mają w Paryżu; zapewne wystawienie opery *Tanhäuser* Wagnera oddziała potężnie na śpiącą na dawnych wawrzynach cesarską akademią, uderzy wstrunę nieznaną jeszcze zwykłym jej słuchaczom; ale jaki ztąd akord nastąpi, czy zabrzmi zgodnie majestatycznym dźwiękiem harmonii, czy rozdrażni i pokaleczy uszy jakim niezgodnym dyssonansem, o tém wyrokować nie można, bo wiadomo że każda publiczność ma swoje nawyki, upodobania, przesady albo kaprysy, a powiadają że publiczność paryżka ma ich więcej jeszcze od wszystkich innych; któż więc przewidzieć zdoła jak jej się praca germańskiego kompozytora w dzisiejszych czasach podobna, czy nie będzie dla niej hieroglificzną zagadką, lub wstręt wzbudzającym muzycznym zamachem?

Wymieniliśmy już powody tej lirycznej stagnacyi; źródło jej wszędzie jedno i to samo, a pochodzi jedynie z braku wyższem, twórczem namaszczeniem nacechowanych kompozytorów, z niedostatku prawdziwym talentem obdarzonych śpiewaków. Rzecz dziwna, a przecież istnieją tam, i to od dawna, zakłady naukowe, szkoły i konserwatorya muzyczne; rok rocznie rozdają nagrody za odznaczanie się w kompozycyi, śpiewie i t. p. W cóż się to wszystko obraca, gdzie się podziwiają owe pełne przyszłości talenta? Pomijamy już kompozytorów, o tych zawsze trudniej było, bo poetyczne natchnienie, skoro go niema, nauką zastąpić się nie da; ale co myśleć o śpiewakach, gdy dobrych coraz mniej na świecie, a schodzących z pola nikt godnie zastąpić nie może? Największą faworytą publiczności uczęszczającej do włoskiej opery w Paryżu, jest pani Alboni. Pod względem muzycznym, bez wątpienia zasługuje ona ze wszech miar na owę cześć, jakiej od lat kilkukunastu nie przestaje doznawać; głos jej kontraltowy, niezmiernie miły, fletowego brzmienia, cudnie wyrobiony, prawdziwą w słuchaniu rokosz sprawia. Ależ, miły Boże! coby to się działo, gdyby ta znakomita śpiewaczka, znana ze swojej otyłości i kolosalnej figury, ukazała się na naszej scenie na przykład w roli Rozyny w *Cyruliku sewilskim*? To strach pomyśleć. U nas bowiem od śpiewaka lub śpiewaczki żądają koniecznie wszystkich warunków jakimi artysta na scenie zalecać się może: pięknego i wyrobionego głosu, kształtnej powierzchowności, wdzięcznej akcyi, młodości nawet, zapominając, że połączenie w jednej osobie wszystkich tych przymiotów, należy do rzeczy wyjątkowych, niesłychanie rzadkich, nieznanych dziś prawie na żadnym europejskim teatrze. Radzibyśmy tedy wysłać część pewną naszej publiczności do Paryża na przykład, ażeby naocznie przekonać się mogła, jak tam niekorzystna powierzchowność śpiewaka, żadnej przeszkody w należytem ocenianiu go nie sprawia, jak ona w niczem mu nie przeszkadza być uwielbianym, nagradzanym i w każdej roli dobrze widzianym na scenie.

Możnaby jeszcze w tym względzie przytoczyć panny Marchisio, występujące z takim powodzeniem w operze wielkiej, i tylu innych, ale nie wiemy czy to się na co przyda. A czasby doprawdy już było pomiarować się w sądach i wyrokach, jakie wymagający nadzwyczajnie nasz ogół publiczności często w rzeczach sztuki wydaje. Zresztą, jeżeli dla obcych z rozgłośnym imieniem artystów jest już tak surowym i wymagającym, niechże potrafi uwzględnić i stosownie ocenić własne siły, na jakie się jeszcze zdobyć możemy. Absolutnej doskonałości niepodobna znaleźć; wymagać, ażeby ona na naszej scenie istniała, nie mamy prawa, z powodu ubóstwa środków, jakimi rozporządzać, jakimi także wynagradzać jesteśmy w możności.

Drażliwa to sprawa dla piszącego, mówić takie rzeczy publiczności, szczególnie w tych czasach, kiedy wielu ma sobie właśnie za najważniejszy obowiązek pochlebiać jej, uwielbiać ją we wszystkim, używając tego środka najczęściej w celach własnego, osobistego interesu. Więc też nie wyczerpując na teraz kwestyi, której dotknęliśmy się mimochodem, odkładamy ją na później.

## WIELICZKA.

(Dokończenie).

Tą drogą wchodzi się na balkon komory zawieszony pod jej sklepieniem. Ztąd przy słabem świetle kaganka, niepodobna dna jej dojrzeć, ani o jej obszerności sądzić, a światelko pracującego w przepaści górnika, błyszczy jak oddalona gwiazdka. Na wykrzyk echo dopiero w parę minut odpowie, wskazując jak daleko jest przeciwna ściana. Wtém na spodzie komory błysną ognie bengalskie, i wtedy, zmierzwszy okiem tę głębię, nie możemy oprzeć się uczuciu najwyższego podziwu nad tak olbrzymim dziełem pracy człowieka. Dno tej komory nie jest gładkie, składa się ono z wielkich progów, ułożonych w kształcie amfiteatru. W środku tej olbrzymiej komory wisi ogromny żyrandol, wyrobiony z soli, osmańście stóp wysoki, a 9 stóp w średnicy mający. Przy uroczystości salinarniej, w dniu 3 lipca corocznie obchodzonej, lub gdy kopalnię zwiedzają znakomite osoby, żyrandol ten oświetlony bywa 300 świecami. Trudno wyobrazić sobie, jak uroczy jest widok tej iluminacyi wśród kolosalnej solnej groty. Muzyka odzywająca się na umyślnie urządzonej galerii i huk strzałów z moździerzy, silnemi powtarzający się echem po rozlicznych galeriach i komorach, powiększa ogólny urok tego podziemia.

Najbliższe wielkością opisaną tu komory Michałowiec, są komory: Steinhauser, Drozdowice, Majer, Rosetti i Łętów. Ta ostatnia używana jest zwykle za salę jadalną i balową, przy uroczystościach wyprawianych dla dostojnych gości zwiedzających kopalnię.

Inne osobliwości stanowią: most na 60 stóp długi w komorze cesarza Franciszka, zawieszony nie nad wodą, ale nad przepaścią 78 stóp głęboką. Środek tego śmiałego łuku podparty jest słupem z soli, a na dnie przepaści pracujący robotnicy, wydają się jak robaczki skrzętnie zajęte około mrowiska. Na trzecim od góry piętrze kopalni znajduje się komora Kloski i w niej most nad przepaścią 270 stóp głęboką. Tu i przy świetle bengalskiego ognia oko do dna nie dosięga. Zszedłszy na czwarte piętro, znajdujemy się na dnie komory cesarza Franciszka, i most z którego patrzyliśmy na pracujących w dole robotników, jest teraz zawieszony w ciemności nad naszymi głowami.

Daléj ukazują się nowe cuda. Na dnie komor Majer i Rosetti znajdziemy jeden z licznych stawów wody słonej, istniejących na różnych piętrach i ciągle napełnionych wodą sączącą się przez pokłady soli i łu. Ma on 156 stóp długości, 43 szerokości, a 36 głębokości. Te wody, w wielkiej ilości zbierające się w różnych warstwach, sprowadzane są sztucznymi drogami do najgłębszego miejsca w Wieliczce, do Wodnej góry, z której szybem tegoż nazwiska na 792 stopy głębokości, wyprowadzane są za pomocą kieratów przez konie obracanych na powierzchni ziemi. Dawniej z tej wody, zawierającej znaczną ilość soli, wydobywano ją przez warzenie, ale od r. 1724 dla braku, a zatem droższy materiał palnego, zaniechano warzenia i teraz tej wody, zwanéj surowicą, używają już tylko do kąpiel; w skrofalach, reumatyzmach i chorobach skórnych skutecznie działa. Obliczono że rocznie 20,000 beczek tej wody słonej wylewa się do Wisły. Przepuszczają ją najprzód przez gnoje, aby nikt z niej nie mógł użytkować, bo wydobywanie i warzenie soli, stanowi wielkie źródło dochodów państwa austriackiego. Sól ta jednak nie jest rzeczywiście straconą, bo cząstki solne jakie się w niej znajdują, zbierają się w innych miejscach i kiedyś późniejszym pokoleniom dostarczać będą tej niezbędnej przyprawy pożywienia ludzkiego.

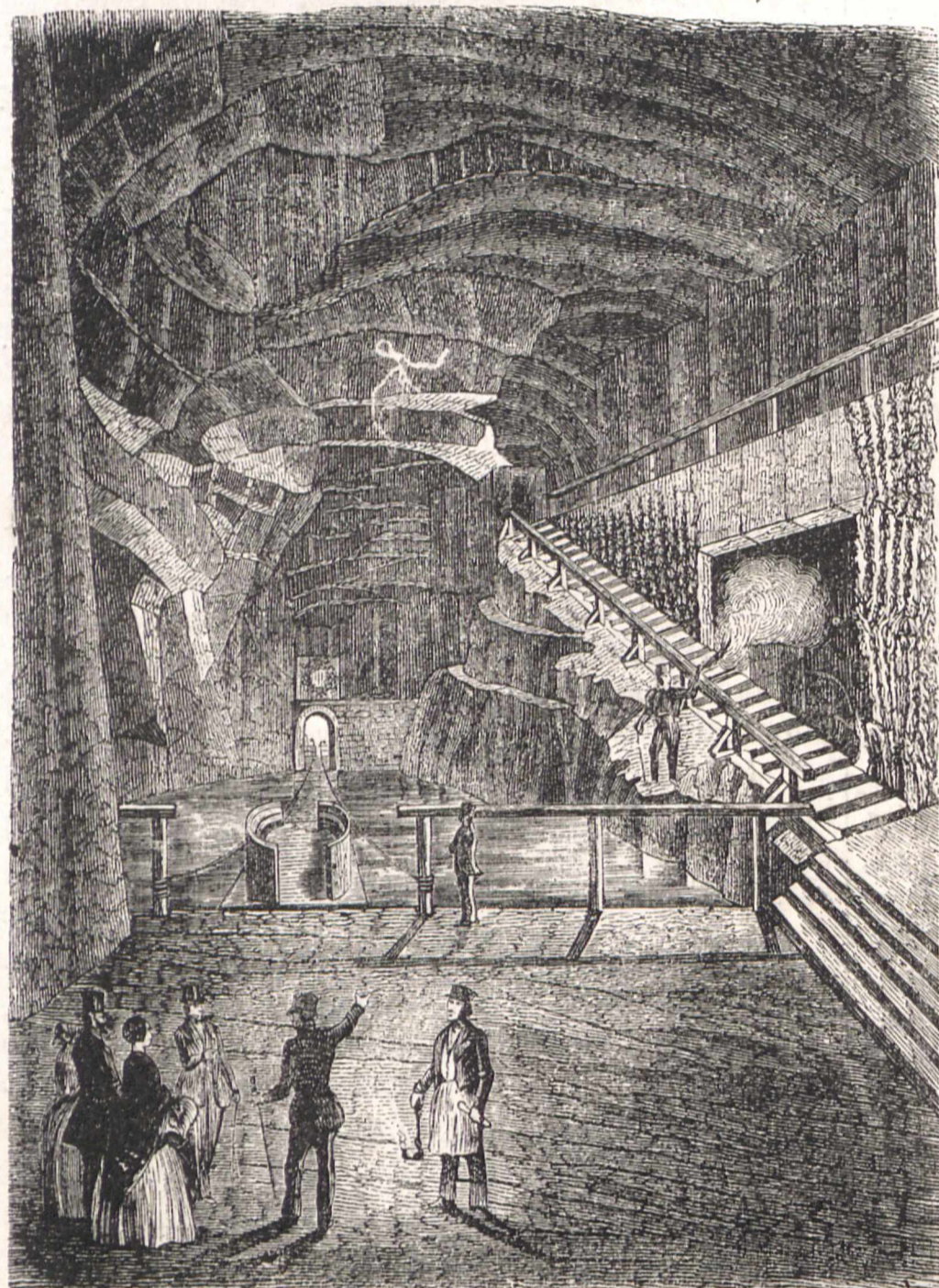
Na stawie wody słonej w komorze Rosetti i kilku innych, promy przewożą podróżnych z jednej strony wody na drugą. Wśród poważnej ciemności słabo oświetlonej, ogromnej komory, łódź puszczająca się z gośćmi biało ubranymi, przy czerwonym blasku kaganków i pochodni, mimowolnie nasuwa myśl o łodzi Charona i duszach, które on przez Styx przewoził.

Przebywszy jezioro słone na promie, podróżni udają się do komory Steinhauser, gdzie zwykle strzelają z moździerzy. Trudno sobie wyobrazić jaki ztąd

straszliwy łoskot powstaje, zdaje się że sklepienia i ściany, wstrząśnione wystrzałem, wałają się ze swych posad, a przeciągłe i długotrwałe echo przypomina uderzenie piorunu. Tu górnicy na niewidzialnych w ciemności linach, z zapaloną miotłą w ręku wycią-

mych górników. Główniejsze są: kaplica św. Klemensa z obrazem tegoż świętego, nad którym umieszczony jest herb Rzeczypospolitej i rok 1726. 2 Kaplica na Lisaku. W ołtarzu obraz zakopcały nie daje nic rozpoznać, pobokach tylko zachowały się dość wyraźnie:

kolosalny posąg Najświętszej Panny i św. Józefa po prawej, a św. Jana i Chrystusa upadającego pod krzyżem po lewej stronie. 3. Kaplica św. Antoniego, w pobliżu szybu Danielowice, najlepiej jest dotąd utrzymywana. Na rycinach widzieliśmy jej wnętrze. Do kaplicy tej wchodzi się po 4ech stopniach, wielkimi drzwiami artystycznie wyrobionymi. W wielkim ołtarzu jest Chrystus upadający, po bokach zaś z jednej strony Chrystus na krzyżu, z drugiej wielka kazalnica, bogato wypukłą rzeźbą zdobna, a to wszystko ze soli. Efekt nabożeństwa odbywanego w tej kaplicy jest niezmierny: złudzeni, mniemamy żeśmy się przenieśli w odległe wieki chrześcijaństwa, kiedy pierwsi chrześcijanie, ukryci w podziemnych grotach, odbywali nabożeństwa, kryjąc się przed fanatyzmem prześladowców. W tej kaplicy znajduje się także posąg króla Augusta II Sasa, prawie naturalnej wielkości, z berłem w jednej, a jabłkiem w drugiej ręce. Pomnik ten, wykuty z soli, posłano w darze panującemu wówczas Augustowi II, lecz pomimo najtroskliwszego strzeżenia go od wilgoci, zaczął topnieć i dla zachowania go od zniszczenia, odesłano go napowrót do kopalni, gdzie dotąd stoi, ale



KOMORA ROSETTI.

gani, wydają się jak duchy podziemne ulatujące w górę.

Wracając ztąd, przechodzimy przez komorę Pieskowej skały, w której skały solne malowniczo ugrupowane, przedstawiają jakby ruiny zamków, lasy, chaty i t. p.

się coraz bardziej rozpuszcza, równie jak dwie figury klęczące przed wielkim ołtarzem.

W tej kaplicy odbywają się nabożeństwa we wszystkie główne święta, a z kazalnicy nader misternie wykutęj z soli, odzywa się słowo Boże.

Droga z tej kaplicy prowadzi nas do komory Łętów, o której już wspomnieliśmy. Przy uroczystościach w kopalni wyprawiają tu bale, i wtedy sześć wielkich pajaków, wyrobionych z kryształowej soli, uroczysto oświetla jej ściany, przybrane licznymi zwierciadłami i przezroczami, a skoczne pary Krakowiaków, zaimprovizowane przez młodzież wielicką, miłą są niespodzianką dla wędrowca, zwłaszcza z dalekich stron przybyłego.

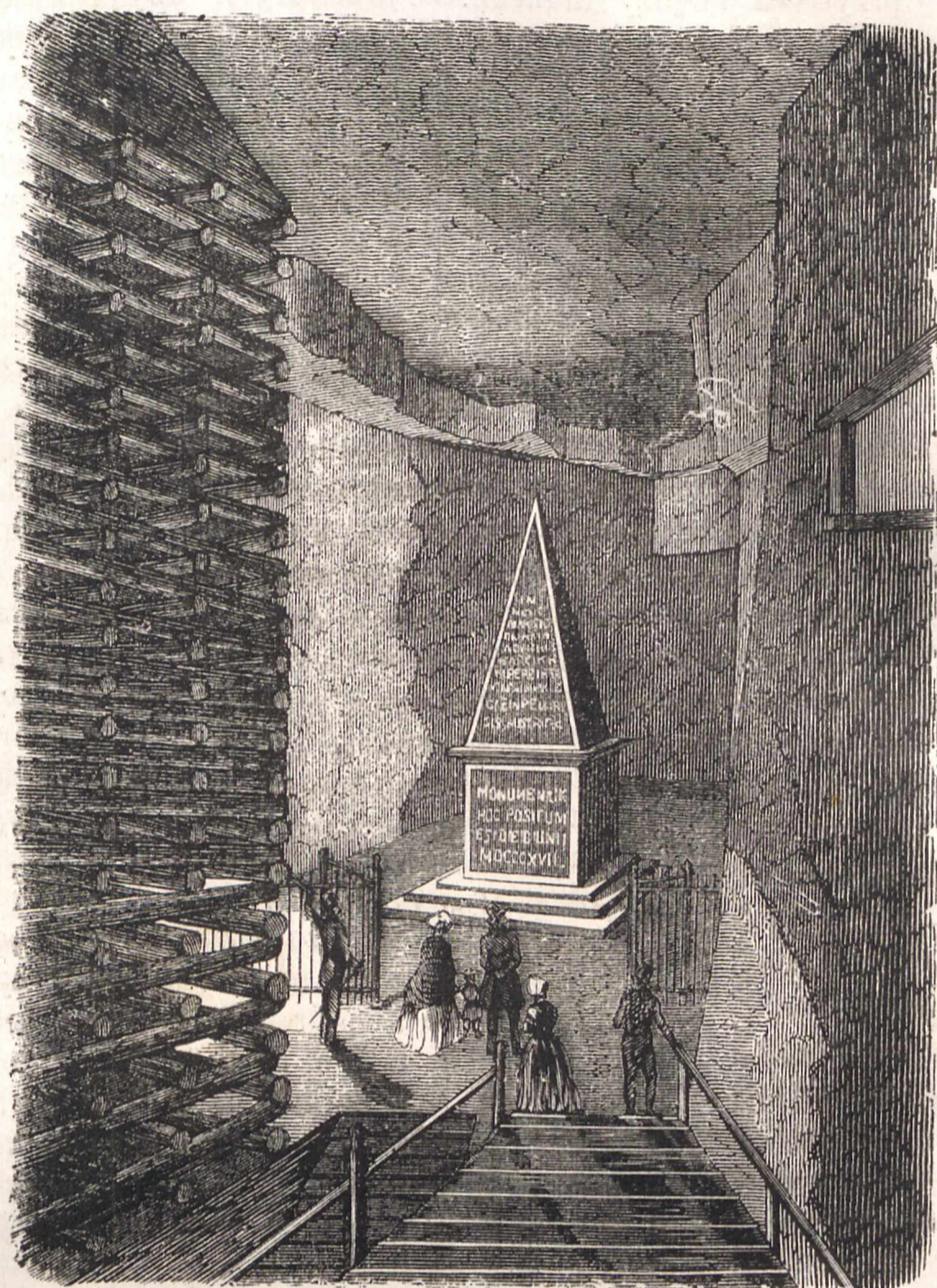
Należy nam tu wspomnieć jeszcze o nader dziwnym zjawisku przyrodzonym, jakim jest w tej krainie soli źródło słodkiej wody, znajdujące się na pierwszym piętrze od góry, w galerii zwaną na Zawadzie, w głębokości 198 stóp paryskich. Wyborna ta woda wypływa w takiej obfitości, że wystarcza na potrzeby górników i koni utrzymywanych do obsługi kopalni.

Zwykle ciekawi zwiadzający Wielickę zapuszczają się w jej głębie, zstępując po schodach, których jest 1,044 stopni. Ale rozchodzący się po różnych piętrach podziemnych chętnie oszczędzają sobie trudu przebywania znowu w górę tyłu schodów i dają się wyciągać szybem do tego przeznaczonym. Do liny na cztery cale grubiej uczeplone są siedzenia z sznurów zrobione, wygodne i bezpieczne zupełnie, w liczbie ośmiu. W kilku minutach tym sposobem wędrowcy podziemni wydostają się na

światło słoneczne i dotychczas nie było w tej podroży powietrznej ani jednego nieszczęśliwego wypadku, chociaż podróżni czasami na tej linii przebywają 288 stóp wysoką drogę.

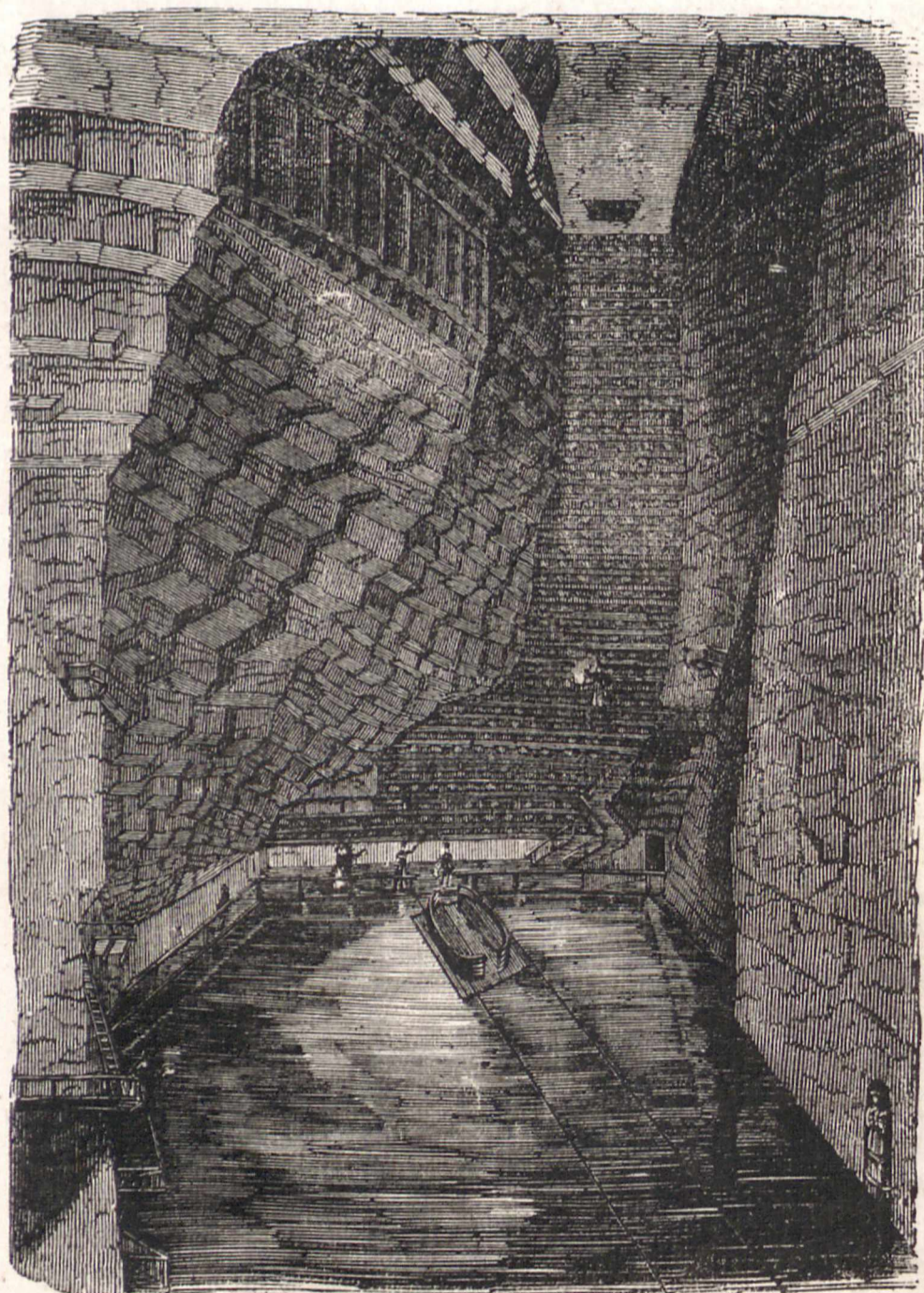
Zwiadzając kopalnie wielickie w r. 1855, nadeszli-

śmy do tego szybu w chwili, gdy kilkudziesięciu uczniów szkół krakowskich unosiło się w górę na linie. Wesoly ich śpiew odbijały echa kopalni, a kagańce górnicze rzucały czerwone światło na to obojętne grono; ale stopniowo, im wyżej ulatywali, tém



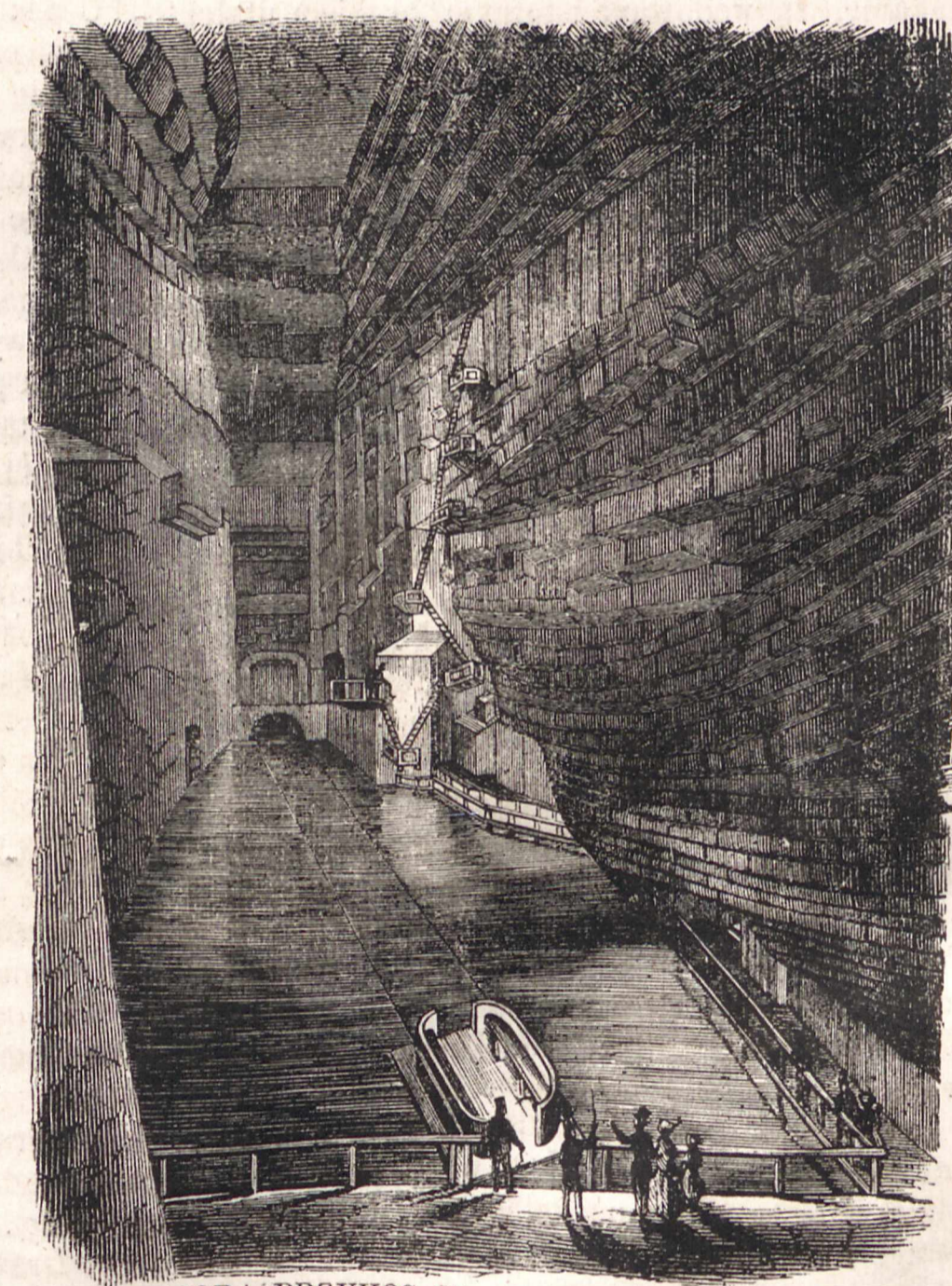
KOMORA KLEMENSA.

śpiew stawał się cichszym, a światła jaskrawe przemieniały się w zaledwie dojrzone gwiazdki. Niepodobna opisać wrażenia, jakie ta napowietrzna wędrówka na nas zrobiła. Mimowolnie przypominał się czyściciel Danta, z swojemi błędnymi cieniami, ulatującymi w mroku niezmiernych przestrzeni.



KOMORA PRZYKOS OD STRONY ZACHODNIEJ.

Górnicy, oddzieleni od świata, całe życie spędzając w podziemiu, są pobożnymi i dlatego w głębiach Wielicki znajdujemy liczne kaplice wykute w skałach solnych, z ołtarzami, posągami świętych, ławkami i kazalniami, wyrobionymi także z soli przez sa-



KOMORA PRZYKOS OD STRONY WSCHODNIEJ.

W kopalniach, mimo wielkiej ich głębokości, temperatura nie jest tak wysoką jakby sądzić można z prawa o podwyższaniu się ciepła, stosunkowo do zagłębiania się w ziemię. Przyczyną tego jest komunikacja z zewnętrznym powietrzem, która

już od sześciu wieków otwarta, ostudziła te głębie. Powietrze w kopalniach jest bardzo czyste, skutkiem ciągłego przewiewu po wszystkich jej chodnikach i komorach; ztąd stan zdrowia pracujących w niej robotników jest bardzo pomyślny. Są to ludzie w ogóle zdrowi, czerstwego oblicza, silni i dochodzą do późnego wieku.

W niektórych miejscach ze szczelin w ścianach wydobywa się gaz palny, wodorowęglowy. Dla uniknięcia przypadku, palą go co kilka dni. Podania miejscowe wspominają o kilku wybuchach gwałtownych, które i ludzi pokaleczyły i szkody w robotach zrzędziły. Wspomnieliśmy wyżej o nieszczęśliwych wypadkach pożarów, wybuchłych w tych podziemnych otchłaniach. Obecnie, kiedy zarzucono stawianie podpór z pni drzewa, a te które oddawna istnieją, tak są przesiąknięte solą, że się stały prawie niepodobnymi do zapalenia, niebezpieczeństwo znacznego pożaru w głębiach Wieliczki jest prawie usunięciem, i tylko obawiać się w niej można przypadków cząstkowego zapadnięcia, co już także kilkakrotnie miało miejsce, a mianowicie za naszych czasów w 1832 roku na drodze z Wieliczki do Klasnego, trzy domy na raz jeden pochłonęła ziemia. Jednakże i w takich razach ludzie na powierzchni ziemi mają czas uniknąć niebezpieczeństwa, a nawet ocalić swoją chudobę, bo przed każdym takim wypadkiem dają się słyszeć mocne huk podziemne w pewnych odstępach czasu. Wewnątrz kopalni miejsca zapadnięte po jakimś czasie zapełniają się solą, osadzającą się z wody ciągle przeciekającej, tak iż zdaje się być jednostajną skałą, i kiedyś po wielu może wiekach górnicy, łamiąc takie skały, z podziwieniem znajdować w nich będą ułamki obrobionego drzewa, szczątki lin albo narzędzi górniczych, jakby wrośnięte w solną skałę.

Lękać się należy, ażeby kiedyś cała, a przynajmniej znaczna

część Wieliczki nie zapadła w podziemne otchłanie. Wybrane bowiem w odległych czasach pieczary rozmiarów takich jak np. komora Michałowiec, niemające żadnych podpór, mogą się z ubiegiem lat zawalić. Wié o tém mieszkaniec wielicki; mimo to, przywiązany do rodzinnego gniazda, mając dobry zarobek, bez trwogi oddaje się pracy, a później spoczynkowi. Do ciągłego niebezpieczeństwa z czasem przywyknąć można, i nikt też tu o zawieszonym nad głową mieczu Damoklesa nie myśli.

### NOWY KOŚCIÓŁ NA WOLI POD WARSZAWĄ.

Kaplica parafii wolskiej już od kilku lat mieszczoną bywała w lokalu najmowanym w prywatnych domach, co bynajmniej nie odpowiadało potrzebom licznych parafian. Wzniesienie więc nowej świątyni na Woli było oddawna rzeczą bardzo pożądaną, a spełnienie tego życzenia należy zawdzięczać usilnym staraniom JW. Dyrektora Głównego Prezydującego w Kommissyi rządowej spraw wewnętrznych i duchownych, który tak przez zgromadzenie fundusów, jak i w usunięciu wielu miejscowych trudności,

względem estetycznym ocenił i podał je do wiadomości publicznej przez wierne rysunki lub fotografie.

Na Zachodzie, gdzie za naszych czasów prawie zupełnie zaniechano naśladownictwa architektury z XVII i XVIII wieku (\*), a zwrócono się do studyowania pomników z dawniejszych, szczęśliwszych dla sztuki epok, widzimy i styl romański, między innymi nawet w kilku nowych kościołach zastosowany.

W naszym zaś kraju z budowli nowych i już wykonanych, ile nam wiadomo, kościółek wolski jest pierwszy w stylu romańskim. Styl ten, tak rozmaity nie tylko w ornamentacji, ale i w samym układzie

mass i różnych szczegółów elewacji, (która powstaje, tworzy się, kształtuje i że tak powiemy, wyrasta organicznie z wewnętrznego układu plany zastosowanej do przeznaczenia i potrzeb budowli) szczególnie dla powagi swych proporcji i głębokiego wrażenia, jakie swym charakterem na widzu sprawia, wybornie zastosować się daje do budowli czci Bożej poświęconych. Oprócz tego i ze względów technicznych na materiały budowlane kraju naszego, dodać musimy, że budowle w stylu romańskim jaknajłatwiej u nas z cegły palonej wznoszone być mogą, zostawiając powierzchnie zewnętrzne ich ścian nietynkowane, a zdobne tylko naturalnym powiazem cegieł i ociągając cementem lub zaprawą wapienną gzymsy i inne szczegóły, które także z powodu niewielkich wyskoków wysadzane być mogą z cegły zwyczajnych wymiarów.

Kościółek na Woli, w tym właśnie guście zbudowany, składa się z jednej nawy, z czworokątną wieżą na przodzie i zakończony jest półokrągłą niszą, stanowiącą Sanctuarium.

Pomieścić on może około 600 osób, a główne jego wymiary są następujące: całkowita długość wynosi stóp warszawskich 112, tyle co i wysokość wieży od ziemi do wierzchu krzyża; szerokość nawy w świetle stóp 38, a jej wysokość około 36 stóp.

Dwie statuy, jedna św. Stanisława, druga św. Jana Nepomucena, umieszczone na frontowej ścianie obok wieży, podobnie jak i płaskorzeźba w drzwiach frontowych, są dziełami tegoż artysty-rzeźbiarza p. Cenglera. Obraz zaś św. Stanisława biskupa, pod którego wezwaniem kościół poświęcony został, jakoteż i dwa obrazy w ołtarzach bocznych, z których jeden przedstawia św. Wawrzyńca, a drugi Niepokalane Poczęcie P. M., wykonał p. Kamiński, professor warszawskiej szkoły sztuk pięknych. W końcu dwa okrągłe obrazy, św. Kaźmirza królewicza i św. Elżbiety na blasze malował p. Gierdziejewski.

(\*) Styl XVII i XVIII wieku, zwykle zwany *barokko*, Niemcy pospolicie oznaczają mianem *Zopfstyl*.



WNĘTRZE NOWEGO KOŚCIOŁA NA WOLI POD WARSZAWĄ.

głównie się przyczynił do doprowadzenia dzieła tego do skutku.

Nowy kościółek zbudowany jest na gruncie ofiarowanym przez p. Biernackiego, właściciela Woli, podług planów członka rady budowniczej, budowniczego miasta Warszawy, Józefa Orłowskiego, w stylu romańskim, którego pomniki sięgające XI, XII i połowy XIII wieku licznie są rozsiane po północnych Włoszech, środkowych Niemczech i po całej niemal Francji, a nawet i w bliskim nam Szląsku.

I u nas znaleźć można przykłady tego stylu pomiędzy starymi klasztorami i kościołami dawnych opactw; czekają one tylko zamilowanego artysty-budowniczego, któryby je poznał, ważność ich pod

Koszt całej budowli wraz z plebanią wynosi około 25,000 rsr., w którą to sumę nie wchodzi wiele szczegółów, jak n. p. szyby kolorowe, statuy i niektóre przedmioty stroju kapłańskiego, pochodzące z darów prywatnych.

Budowa dokonana została sposobem administracyjnym, pod kierunkiem osobnego na ten cel komitetu. Co szczególnie zwraca uwagę, i to nie tylko znawców, w tym kościółku, to nadzwyczaj staranne i dokładne wykonanie wszystkich robót, jako też umiejętne przeprowadzenie stylu i utrzymanie charakteru w całej budowli, a nawet i w samych sprzętach kościelnych.

Poświęcenia tego nowego domu Bożego dopełnił w dniu 14 października r. b. jw. biskup sufragan łowicki hr. Plater, w asystencji kleru księży misyjnarzy, w obec dostojnych osób, oraz licznego tłumu z Warszawy i okolic. Po obrzędzie jw. konsekrujący odprawił sumę, podczas której artyści opery stosowną wykonali muzykę. Kazanie przypadające do uroczystości miał ks. kanonik honorowy Łaski, kapelan cmentarza powązkowskiego.

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Wojna olbrzymów. — Wyszmir. — Dwunastu wojewodów. —  
(Przez Deotymę.)

Deotyma stanowczo rozwinęła sztandar literacki: po rozmaitych próbach i przejściach, — dzieje, przeszłość nasza, ma być stałym twórczości jej przedmiotem. Treść ubiegłego życia Polski, ujęta w kilka żywotniejszych punktów, wydatniej zapisanych na kartach historii, ma się przejawiać w pewnym szeregu prac naszej autorki. W obec takiego zadania zwątpiłby i najsilniejszy; zobaczymy, da Pan Bóg doczekać, jak się z niego wywiąże Deotyma, a tymczasem przejrzyjmy to co jest. Nie możemy się wszelako oprzeć chęci wypowiedzenia tej uwagi, że taki rozkład pracy na systematyczne działy i lata niekoniecznie zgodnym jest z naturą poetycznego talentu. Poeta nie może powiedzieć sobie: dziś będę pisał o tym, a jutro o tamtym; — on pisze to, co mu niewiadomo zkąd wpadło do głowy na skrzydłach natchnienia, i z głowy też wychodzi gorące i jasne. *Spiritus flat unde vult*: kto ma z natury usposobienie poetyczne, może je wprawdzie skierować do dowolnego przedmiotu, my wszelako pewniejsi jesteśmy wartości, kiedy przedmiot znajdzie sobie poetę, niżeli gdy dzieje się odwrotnie. Ale rzecz to autorki, może ona właśnie posiada tajemnicę rozrządzania natchnieniem swém: dawniej wyznaczano jej temata do improwizacji, i podolała im; dzisiaj sama z góry wybrała sobie temat rozległej poetycznej pracy i plan nakreśliła z rozwagą; — czekajmy co poetycki dar zbuduje według tego planu. To co uczyniła dotąd przekonywa, iż jest przeniknącą do głębi duszy majestatem przeszłości; wielka miłość kraju i chrześcijański sposób zapatrywania się, nie bez pewnej filozoficznej zaprawy, są to światła, które ani na chwilę nie gasną przy pracach Deotymy, to jej dwa biegunowe punkta. Ale nie idzie tu o to tylko, aby czytelnik w poecie odkrył te zalety, one powinny porwać go za sobą, z myślą poety zjednoczyć, uczynić go jej niewolnikiem; jest to dzieło formy, ale nie tej formy mechanicznej, która dźwięczne układa frazesa, tylko formy nadprzyrodzonej, która mniej kształtnemu nawet ciału nadaje nieokreślone powaby ducha. Taką to formę, i to w wysokim stopniu, posiada Deotyma, ale tylko w granicach fantazyi: nowa jej praca, nowym tego dowodem. Przy każdym opisie, jakież to obrazy, porównania, kolory! a wszystko świeże, oryginalne, ogniste; z niepospolitych pojedynczych myśli, hojnie rozsypanych na każdej stronicy, ułożyłby można przesłiczny wieniec aforyzmów, godnych najwyższego pisarza. Potężnym jest umysł Deotymy, a fantazyja jej, to kopalnia skrzęca czarującymi ogniami diamentów. Lecz kiedy potrzeba kogoś rozrzewnić, skruszyć, łązy mu wycisnąć, — wtedy słowo jej słabnie, zamiast obrazu tworzy się kształtna ale ciemna sylwetka. Nie wiem, kiedy młoda autorka nasza fantazyją i uczuciem doprowadzi do równowagi.

Spojrzyjmy na tę *Wojnę olbrzymów*, która tu przedstawia ucisk awarski, wywierany na słowiańskich plemionach. Wstępne opisy szarańczy, nawałnicy,

trzęsienia ziemi, które mają przedstawiać zobopólne zapasy najeźdźców i uciśnionych, są to strofy zdumiewającej piękności, a wypowiedziane wiérsem nie tylko miłym dla ucha, ale nawet dla oka, bo ułożone w jakiś fantastyczny rysunek. Krótki opis postaci Awara (Obr, olbrzym) jest równie dosadnym jak malowniczym.

Oibrzym odpychał ciemną, dziwnie płaską twarzą;  
Oko jego się iskrzy jak oko tygrysa....  
Włos czarny w dwóch warkoczach na ramiona zwisa;  
A dusza jego podobna do szali,  
Gdzie się podstęp i srogość wiecznie równoważą.

Wszystkie zarówno ustępy opisujące czy to naturę, czy ludzi, odznaczają się pewnym i wielorakim kolorytem. Ale gdy przychodzi wyrazić niedolę ujarzmionego ludu, cierpienia zrzędzane okrucieństwami Awarów, nie słyhać w wyrażeniu tej nuty boleści, która jak skrzyp tortury rozdręczy powinna serce słuchacza. Wojna olbrzymów jest poetyczną kombinacją szczegółów, mozolnie zbieranych w dziełach historycznych; szczegóły te zbyt są drobne i nieliczne, aby z nich mógł się utworzyć dokładny obraz epoki; jednakże wina to raczej przedmiotu, doktórego, pomimo kilku drogoskazów historycznych, niepodobna się przedrzeć: talent poety niewiele na to może poradzić.

Obszerny poemat *Wyszmir* opiera się już na większej liczbie szczegółów, dostarczonych przez kroniki polskie i skandynawskie. Wyszmir (Wizimierz, Wyszomierz, Ismar) był to Pomorzanie rodem, a że Pomorze nie tylko jednością rodu połączone z Lechią nadgoplańską, ale nadto stanowiło z nią podówczas nierozdzielny całość, nie wahała się przeto autorka podciągnąć tę postać historyczną pod wyobrażenie Polski. Zamiar ten uskuteczniła tém chętniej, iż, jak się wyraża w przypisach — „najrozleglejsza przeszłość nasza jest niezupełną w zarysie, póki jej brakuje wojenno-żeglarskiego żywiołu.“ — Ten tedy żywioł ma nam wyobrazić Wyszmir, i nie bezzasadnie, gdyż w obec badań dziejowych niezaprzeczonem jest istnienie jakiegoś pomorskiego rycerza, którego morskie wyprawy sławnym uczyniły w skandynawskich nawet krainach. Nie zbywało autorce na luźnych faktach i szczegółach odnoszących się do samych wypraw; ale rzecz to wcale niewystarczająca dla poematu, który ma wyobrazić ideę; idea ta koncentrowaćby się powinna w postaci głównej, w samym Wizimierzu, o którym na nieszczęście to tylko wiadomo, że szczęśliwie wojował w Danii. Było tedy zadaniem autorki dotworzyć mu charakter, poetyczny żywioł epoki do duszy jego wprowadzić, nadać czynności jego znaczenie rozwagi i poglądu na przyszłość, ażeby Wyszmir nie był prostym korsarzem lub awanturnikiem bezmyślnym, ale dziejowym bohaterem narodu. Cała więc inwencja Deotymy obraca się około tego punktu. Chcąc być konsekwentną, kiedy raz już w *Lechu* wykreśliła wojny zaborcze z elementów polskiego życia, więc i tu za zasadę krwawego wystąpienia Wyszmira przyjmuje odpór ucisku. Syward, król Danii, zdobywa Pomorze i ujarzma ludność niezdolną stawić mu oporu; kraj cały stoi mu otworem, okrzyki trwogi objają się o Gniezno, wołając o ratunek, a odpowiada im tylko bezsilna rozpacz. Wtedy zjawia się Wyszmir. Dostatecznym byłoby, gdyby autorka przedstawiła go jako męża silnego myślą, sercem i natchnieniem, gdyby zamiary jego i czyny były prostym wynikiem potrzeby kraju i Wyszmir przyszedł sam z siebie do jej uznania, jako świadek i uczestnik ogólnej niedoli. Autorka jednak wybrała inną drogę: przedstawiła cały proces tego natchnienia, ująwszy go w pewną allegoryczną figurę, i ztąd wynikł w jej utworze czarodziejski, umysłowiony świat wodnych istot i potęg. Wyszmir, jest to młody rybak, który zjednał sobie miłość bogini Wisławy, królującej całemu wodnemu państwu na ziemi lechickiej. Miłość bogini podniosła prostaczka, Wyszmir przez nią wyrósł w olbrzyma, światło wstąpiło do jego duszy i moc w jego ramię. Niedawno o Bożym świecie nie wiedząc, dziś dopiero przejrzał, zrozumiał okropność położenia kraju i zapragnął go ocalić, nie dla chwały, ale przez miłość. Stał w Gnieźnie nieznanym, lecz jasny namaszczeniem na to posłannictwo, urok bóstwa nie przestał go otaczać; poszli więc za nim zwątpiali wodzowie i ludy, i bój z wrogiem rozpoczął się krwawy. Szczęście towarzyszy orężowi Wyszmira, bo talizman bogini czuwa przy nim, a tym talizmanem jest przekonanie o wielkości

missyi, wiara w świętość sprawy i pamięć na to co człowiek winien bóstwu które go pokochało. Z jednej tedy strony występują dzielni korsarze duńscy, jako ślepa siła niszcząca i lubująca się w zniszczeniu; z drugiej siła rozumna, uosobiona w Wyszmirze, która, jeżeli zostawia po sobie popioły, to na użyźnienie zasiewów przyszłości. Już wróg wyparty z granic lechickich, już Syward śmiercią opłacił najazd i bezprawia, a syn jego Jarmeryk zakładnikiem w rękach Lechitów, i ziemia duńska stoi pod mieczem Wyszmira. Zdobywca staje się dobroczyńcą, on nie chce zemsty i nienawiści, ale pokoju i przyjaźni; naród duński żegna go błogosławieństwem.

To dopiero jedna strona Wyszmira, strona polityczna; pozostaje strona tajemnych, osobistych uczuć. Kochanek Wisły i tu ma do zwalczania wroga, a z tym nie tak pomyślnie mu poszło, jak z wrogiem ogólnym. Oczarowała go Hilda córka Sywarda; serce jego wprawdzie pozostało wiernym kochance, ale umysł obłąkał się zadany urokiem przez nieubłaganą dziewczę, która mu poprzysięgła zemstę za śmierć ojca i klęskę współbraci. Hilda nie pojmowała jego wielkości, nie sądziła aby zwycięzca mógł mieć szlachetne względem zwyciężonego zamiary; postanowiła więc powabami skłonić ku sobie serce Wyszmira i obezwładnionego zamordować, a gdy nie starczyło zwyczajnych środków kobiecych, wtajemniczona w sztukę czarnoksiężką, sprowadziła z Walhalli wszechwładne kadzidło miłości, którego wonią otoczony Wyszmir, myślą i wzrokiem pozostał przykutym do Hildy.

Ale to wszystko, to nie była miłość;  
Miłość ma jasne, pogodne oblicze,  
Miłość się zdaje rozkazywać światu,  
A to uczucie było niewolnicze,  
Smutne, podobne do sztucznego kwiatu,  
Co nosząc wszystkie pozory rozkwitu,  
Zawsze bezwonnym i martwym zostanie.  
— Nie, to nie miłość, — to oczarowanie.

Ale inaczej na to patrzyli współtowarzysze Wyszmira, inaczej wyobrażało sobie serce Wisławy. Bolała ona nad niewiernością kochanka, nad jego zapomnieniem; aż stary Bałtyk użalił się nieszczęśliwej córki, i w chwili gdy Wyszmir, już wyjęty z pod przemocy czarów, miał odbyć pożegnalną biesiadę na okręcie z Hildą, aby czémprędzej wrócić do swjej bogini, — król morza, zwiedziony pozorami, wzburzył do dna swoje państwo i Wyszmira porwał w odmet bałwanów. Tam Wisła przyjęła go w swoje objęcia, jako małżonka, i uszczęśliwiona, przyzwała wszystkie rzeki i strumyki na weselne gody, i odtąd Wyszmir stał się monarchą Wisły.

Mnóstwo różnorodnych szczegółów składa się na ten poemat. Obrazy fantastyczne, rycerskie, bojowe, miłosne, czarodziejskie, snują się jeden za drugim, jak w panoramie; wszystko to przetkane tu i owdzie myślami niepospolitej piękności i niezaprzeczonej siły; całość z tém wszystkiem jest tylko piękną hipotezą, nie dającą się sprawdzić warunkami bytu do którego się odnosi. Poeta nie jest wprawdzie biernym niewolnikiem rzeczywistości, wolno mu stworzyć fikcyjną osobę, jeżeli ta zwłaszcza ma, jak Irydion lub Anieli, przedstawić zbiorowe żywioły społeczeństwa; ale pomysłami własnymi nie może poeta zastępować historycznej istoty rzeczy. Oderwany od czasu i miejsca, Wyszmir jest ideałem nazbyt platonicznie pomyslanym, którego po za mgłami szukać musimy oczyma. Tymczasem idee wszelkie o tyle są piękne, o ile się realizują; upiększają się one tém skorzej, im bardziej wychodzą z granic mroku i abstrakcyi, wkradając w świat istot warunkowych, im chętniej wyrzekają się mdłej nieśmiertelności cieniów, aby przywdziać kształty zmysłowe i śmiertelne. Idee muszą się koniecznie indywidualizować, jeżeli piękność ma stać się ich udziałem; a bez materji i bez przypadkowości indywidualność nie istnieje. Forma jest istotą piękną; nie masz go bez konturów, czyli bez ograniczeń. Piękność tedy istnieć może tylko w sferze istot ograniczalnych i skończonych, a istnienia jej niezbędnym warunkiem jest czas i miejsce. Gdzież tu zatem napotykamy czas i miejsce dla Wyszmira? w przestrzeni niezdeterminowanej. Gdzie jego indywidualność? Na to pytanie odpowiedzieć nie umiemy. Wyszmir staje się wyższym nie przez siebie, zwycięża nie przez siebie, króluje nie przez siebie. Jeżeli nawet ten stosunek z bóstwem uważać będziemy jako figurę cichego w cnocie i czystości obyczajów doskonalenia się, to i tak jest to wielkość małym kosztem

nabyta, której dzieje nigdzie nie dają przykładu. Człowiek rodzi się wprawdzie wielkim, ale staje się nim tylko przez pracę i ofiarę. I z tej zatem strony Wyszymir jest raczej narzędziem, jak identyfikacją idei. Jest ona wzniosłą, opartą na podstawach niezachwianej prawdy; ale szukajmy jej raczej w ogólnym pomysle autorki, w pojedynczych ustępach, w egotycznych zwrotach, wypowiedzianych częstokroć potokiem słów poetycznych: postać zaś Wyszymira, która ma tę ideę wyobrazić, jest wielką w pojęciu raczej, jak w wykonaniu.

Dziwna rzecz, że nierównie więcej istotnego życia i kolorytu artystycznego widzieć się daje w postaciach, które autorka na podrzędnym mieści stanowisku. Duńscy bohaterowie, a pośród nich śmiały żeglarz Herald, wyraziście odbijają się na tle poematu, wszystkie zaś sceny, których bohaterką jest Hilda, osnute na eddejskich podaniach, dowodzą nie tylko znajomości mitologii skandynawskiej, ale zarazem niepospolitego przejęcia się naturą i charakterem fantazyi ludów północnych. Wprowadzenie tych scen tém większą jest zasługą autorki, że dotąd, pomimo tłumaczenia Eddy przez Lelewela i świeżo wydanej sagi Frytiofa w pięknym przekładzie p. Grajnera, ogół nasz bardzo mało obeznanym jest z pierwotną a tak dziwnie fantastyczną twórczością skandynawskich plemion.

Dwanaście pieśni, w których maluje się stan zawichrzeń po śmierci Wyszymira pod panowaniem dwunastu wojewodów, jego towarzyszy broni, są jakby epilogiem głównego poematu i przejściem do wielkiej pieśni o Krakusie, która ma nastąpić. Cała ta praca Deotymy, którąśmy tu w krótkości przejrzyli, jakimkolwiek ulega zarzutom, wszelako, obok wielu miejsc prawdziwie natchnionych, ma jeszcze zaletę rzadkiej piękności stylu i form językowych, tak iż śmiało zalecić możemy to jej dzieło jako wzór dobrej polszczyzny. Tém większe poszanowanie wzbudza ono, iż nie jest tylko utworem imaginacji, ale zarazem owocem długich i starannych studyów, tak iż nie mówiąc już o tekście, same przypisy stanowią niemały dla czytelnika pożytek i dowodzą jak poważnie i z jakim zamiłowaniem autorka oddaje się swemu przedmiotowi. Tak usilna i przykładna praca, obok talentu niepospolitego, nie przejdzie bez korzyści dla ogółu.

E.

## KOŚCIÓŁ KSIĘŻY DOMINIKANÓW

pod wezwaniem

ŚW. JAKUBA W SANDOMIERZU.

Jest to najdawniejsza w tym starożytnym grodzie budowla, wznosząca się na zachód względem miasta, a szczególnież zamku, od którego głębokim parowem a raczej kotliną jest oddzieloną. Kościół ten przetrwał równie całkowity upadek pierwotnego miasta, jak i czasy świetności nowego; był świadkiem jak powstały i runęły najpiękniejsze Sandomierza gmachy, i dziś, jak ów starzec, którego towarzyszy młodości śmierć wcześniej zabierze, ogołcony ze wszystkiego co mu było współczesnym, w polu po za teraźniejszym miastem, wśród ogródków warzywnych wznosi się samotnie, niebielony i całkowicie mchem porośły. Sam widok tej świątyni, której czas i wojny nie dotknęły, mimowolnie przechodnia uczuciem poszanowania przenika.

Jakkolwiek są rozmaite podania o pierwotnym przeznaczeniu tego kościoła, który miał być kiedyś parafialnym, wszystkie jednak zgadzają się że powstał na początku XIII stulecia i że założycielką jego była księżniczka Adelaida, córka Kaźmirza Sprawiedliwego, a siostra panującego wówczas Leszka Białego, jak o tém przekonywa i znajdujący się tu jej nagrobek. Ponieważ zaś ta księżniczka umarła w r. 1201, a zakon dominikański dopiero w r. 1226 przez stolicę apostolską był zatwierdzony, oczywista więc jest rzeczą że przy tym kościele inny musiał być zakon, jak się domyślać można żeński, gdyż w nim wspomniona księżniczka, panną będąc, do końca życia swego mieszkała i tutaj pochowaną została.

Niewątpliwie pierwotny kościół nie musiał mieć teraźniejszej rozległości, gdyż Iwo herbu Odrowąż biskup krakowski, osadzając w r. 1226 przy nim do-

minikanów, powiększył go znacznie, a nawet podobno i przebudował. Ztąd go niektórzy założycielem tej świątyni mianują, zwłaszcza gdy sprowadziwszy ów zakon, w dostateczne zaopatrzył go fundusze i piśmienną dał mu erekcyą. W całej też budowie kościoła widać ślady Iwonowskich czasów, widać pomysły tego samego artysty, który z polecenia zasłużonego krajowi i duchowieństwu pasterza inne jeszcze stawał gmachy. Ta sama tutaj prostota w planie, ten sam stosunek w wymiarach, te same osobliwsze z cegieł w szachownice układane ozdoby, co i w kościele cysterskim w Mogile pod Krakowem, który także Iwonowi założenie swoje winien.

Wszakże kościół ten nietyle jest znamienitym osobliwością budowy swojej, ile dochowaniem jej w stanie pierwotnym, nadewszystko zaś wspomnieniem zdarzeń, w których główną odgrywał rolę. W jego murach przemieszkiwał pobożny Jacek Odrowąż, synowiec biskupa krakowskiego Iwona, jeden z najpierwszych członków kaznodziejskiego zakonu w Polsce, później w poczet świętych policzony. Tu w roku 1260 Tatarzy, przy powtórnym napadzie, najstraszniejszym ze wszystkich, o jakich dzieje ze drzeniem mówią, po zdradzie, która na śmierć wydała bohatera Piotra Krempe, tutejszego starostę, i jego towarzyszy, najdzielniejszych obrońców grodu; gdy całe miasto, zawiedzione w szlachetnym zaufaniu, ogniem i mieczem wycięte zostało, tak iż krew płynęła strumieniami do Wisły:—wtedy to czterdziestu dziewięciu zakonników zgromadzonych w tym kościele u stóp ołtarza, śpiewając hymn błagalny za braci, podobnież okrutnie byli zamordowani. Pod jego to sklepieniami ciała tylu niewinnych ofiar spoczywają, których śmierci męczeńskiej pamiątka uroczystym obchodem, przez Bonifacego VIII papieża w r. 1260 nadanym, uświęconą została. Nie dziw przeto że po tylu klęskach które kościół przetrwał, zaginęły wszystkie piśmienne dokumenta, a z niemi ślady początkowych jego dziejów.

Jakieśmy wyżej mówili, budowa tego kościoła nosi cechę początku XIII wieku. Cechę tę stanowi prostą ścianą zakończoną częścią kapłańską, w której to ścianie dwa wielkie okna są wybite. Nawa, na trzy części rozdzielona sześcią filarami we dwa rzędy ustawionymi, ma krużganki znacznie niższe od środka; sklepienie na niej jest włoskie, jak widać ze stylu, w XVII wieku zaciągane. Wejście do kościoła jest tylko boczne; szczytowa ściana jest zupełnie zamurowaną. Wejście to przyozdabia brama, u góry kołowym opasana łukiem, ze ślicznie wytłaczanej, w różne fantastyczne wzory polewaną cegły wystawioną. Brama ta a raczej odrzwia, na pierwszy rzut oka wydają się złożone tylko z wysmukłych i w snopy związanych kolumn, które otacza ogromny łańcuch rzeźbiony; ale rozpatrzywszy się rozpoznać można przystrojone różne śliczne główki, w palmy, kwiaty, rozrzucone z owym brakiem symetrii, znamionującym bujny lecz mozolny styl ówczesnego smaku. Odrzwia te księżna Czartoryska starała się przed laty przynieść do zbioru starożytności w Puławach i dawała za nie 20 tysięcy złotych, przyrzekając nadto inne równie wspaniałe na to miejsce wystawić; ale szczęściem oparł się temu dominikanie, i bramę, chociaż już nieco nadwężoną, przy swym kościele zachowali. Okna w ścianach nawy są owalno spłaszczone. Przy filarach ustawione ołtarze, których jest ośm, jako to po prawej stronie: Panny Maryi różańcowej, św. Piusa, Jezusa ukrzyżowanego, św. Maryi Magdaleny; po lewej: Imienia Jezus, św. Wincentego, św. Tadeusza, św. Tomasza z Akwinu. W wielkim ołtarzu mieści się obraz św. Jakuba, patrona kościoła. Trzy kaplice go zdobią: jedna z lewej strony, na samym złączeniu części kapłańskiej z nawą, w której mieści się obraz przedstawiający męczeństwo czterdziestu dziewięciu zakonników. Ma ona freski na ścianie prawej, wyobrażające ową rzeź dominikanów z ich przeorem Sadokiem, a na lewej śmierć księdza Augustyna Rogali mszę świętą odprawiającego, zadaną mu przez żołnierza w czasie wojny w dniu 6 kwietnia 1657 r. Naprzeciwko jest druga kaplica z ołtarzem św. Walentego. Trzecia zaś, ponieważ pierwotny klasztor rozciągał się od zachodu czyli od strony szczytowej kościoła i tu w najpierwszej zaraz celi mieszkał św. Jacek, cela ta po jego beatyfikacji z kościołem została połączoną i obróconą na kaplicę, w której się ołtarz tego świętego mieści. Jest to obszerny, kwadratowy pokój, z oknami tak wysoko

umieszczonemi, że do nich bez drabiny dostać się niepodobna.

Z drugiej strony téjże samej szczytowej ściany wznosi się dzwonnica, prostym ale pięknym stylem z cegły murowana. Nie należy już ona do pierwotnych murów kościoła, lecz pod względem architektury, a mianowicie rysunku okien, więcej od niego jest charakterystyczną. W niej zawieszono są trzy dzwony, z których jednemu największemu blisko tysiąc lat istnienia naznaczają. Dzwon ten ma imię Demetriusz, napis zaś na nim uważano za grecki i przeczytano go nawet, (jak utrzymuje p. Chądzyński w opisie Sandomierza drukowanym w r. 1850) „Demetriusz r. 807 odlany“. O pochodzeniu jego różne tu są podania, które i w druku powtórzone zostały. Jedni mówią że należał do pierwszego kościoła, który wystawili księża katolicy za panowania Ziemowita I jeszcze przed wprowadzeniem chrześcijaństwa do całego kraju; drudzy, opierając się na ruskiej jego nazwie, mniemali że Bolesław Chrobry sprowadził go z wyprawy kijowskiej. Ztąd i ksiądz Michał Siejkowski, historyograf zakonu dominikańskiego, w dziele „Świątynia pańska“ w r. 1743 wydanem, domyślał się, że kościół św. Jakuba z pierwotnego greckiego kościoła na łaciński był przemieniony. Nowsze atoli badania przekonały o mylności powyższych twierdzeń. Nietylko bowiem w murach tej świątyni nic nie masz takiego, co by ją do wcześniejszych czasów nad Adelaidy odnosić kazało, ale nawet ów dzwon, który tyle domysłów nastęrczył, ani jest tak dawnym, ani jakiegokolwiek greckie napisy nosi na sobie. Jest on bowiem z końca XIV wieku, sprawiony przez Jana przeora sandomierskiego klasztoru, o czém przekonywają łacińskie napisy, scholastycznymi głoskami w dwóch wierszach na nim się znajdujące, w tych słowach u góry: *In nomine patris et filii et spiritus Sancti Amen. Noster reverendus Johannes prior Sandomiriensis Anno Domini MCCCLXXII.* W połowie zaś wysokości dzwonu: *Agnus dei, qui tollis peccata mundi, miserere nobis. O rex gloriae veni cum pace.* Okazuje się zatem że ów dzwon ulany został w roku 1372, z rozkazu lub nakładem Jana przeora tutejszego, z kąd wniosek że i dzwonnica około tego samego czasu wzniesioną być musiała.

Kościół św. Jakuba wewnątrz jest ubogi, a w r. 1848 wybielony, stracił pozór starożytności. Dochował jednak kilka znakomitych pomników, między innemi grobowy kamień fundatorki, księżniczki Adelaidy. Jest to płaska, czworograniasta tablica, w której wklęsłym środku widać wyrobioną w płaskorzeźbie postać kobięcą w długiej sukni, ze złożonemi na piersiach rękoma; dokoła gotyckie głoski, ryte na kamieniu i czarną zacieraną masą, następujący przedstawiają napis: *Hic jacet Domicella Adalais, filia ducis Kazimiri, fundatrix istius conventus et obiit anno domini millesimo CCXI (1211).* Podług zdania uczonego Kaźmirza Stronczyńskiego (Bibl. Warsz. na r. 1842 T. III str. 150) kamień ten umieszczony był pierwotnie w posadzce kościelnej, teraz atoli wmurowany poprzecznie w podstawę jednego filaru; ważnym on zaś jest nietylko dla swój odległej starożytności, ale oraz iż zastępuje niejako brak erekcyi tego kościoła. A przecież mało kto wie z miejscowych o tym nagrobku, pospolicie bowiem pokazują tu za grobowiec Adelaidy niezgrabnie z dębowego drzewa wyrobiony sarkofag, dzieło nierównie późniejszych wieków, z portretem wspomnianej księżniczki i długim napisem łacińskim i polskim, ułożonym w r. 1676 w tych słowach:

*Jesus Maria*

*Epitaphium*

*adsis viator*

*Atleidis Domicellae prototypon*

*intuere*

*In medio ecclesiae sepultam venerare*

*Haec principum sanguine alta*

*Casimiri ducis filia*

*Lesci principis soror*

*Vitae sanctitate altior*

*Signis et portentis ut veterum monumenta testantur*

*altissimae*

*fundatrici piissimae hic sacer*

*praedicatorum conventus lapideo*

*prius erecto tumulo*

*post*

*hostium feritate diruto*

*iterato*

*Gratitudinis ergo posuit  
Monumentum.  
Anno Domini 1676.*

Pod łacińskim napisem po polsku:

„Nagrobek Atleidy Domicelle, Kazimierza wtórego córki, Leszka białego siostry, fundatorki kościoła tego, która świętobliwością życia i cudami słynąca, przy tym kościele mieszkała, tu po- grzebiona r. 1211 dnia 8 grudnia.“

Zdaje się że powodem wystawienia tego drugiego grobowca, była zamierzana bea- tyfikacja Adelaidy. Zmarła bo- wiem *in opinione sanctitatis*, a grób jój cudami słynął. W tym celu prze- niesiono podobno kości księżniczki do tego sarkofa- gu, żaden jednak- że krok do Rzymu nie został uczyniony. Trudniój jednak wytłuma- czyć sobie, dla- czego przytoczony wyżej łaciński napis obejmuje wzmiankę, że pierwotny ka- mienny grobowiec Adelaidy przez nieprzyjaciół zo- stał zniszczony, kiedy ten w cało-

ści dotąd się zachował. Innój temu przyczyny nazna- czyć nie można, jak że po wyrznięciu zakonników w roku 1260 nie prędko nowa zaludniła się osada, a w opuszczonym przez długi czas kościele, pamięć nawet grobu założycielki zginęła.

Do pomników gotyckich należą jeszcze dwa tutej- sze grobowce: jeden Jana Ostroroga, zmarłego w r. 1427, drugi rodziny Słupeckich bez daty. Pierwszy jest kamienną, czworograniastą tablicą, w posadzce kościelnej umieszczoną, na niój w środku wryty herb Nałęcz, a wkoło napis: *Hic jacet stenuus dominus Jo- hannes d'Ostrorog, obiit anno domini MCCCCXXVII*. Drugi pomnik stanowi płyt kamienny beznapisowy. Wpuszczonych jest w niego pięć z mosiądzu odlanych herbów, na okrągłych tarczach zgrabnie wyrobionych, z których środkowy, Rawicz, ma nad sobą ozdobnymi gotyckimi głoskami wypisane: *Heredes de Słupca*.

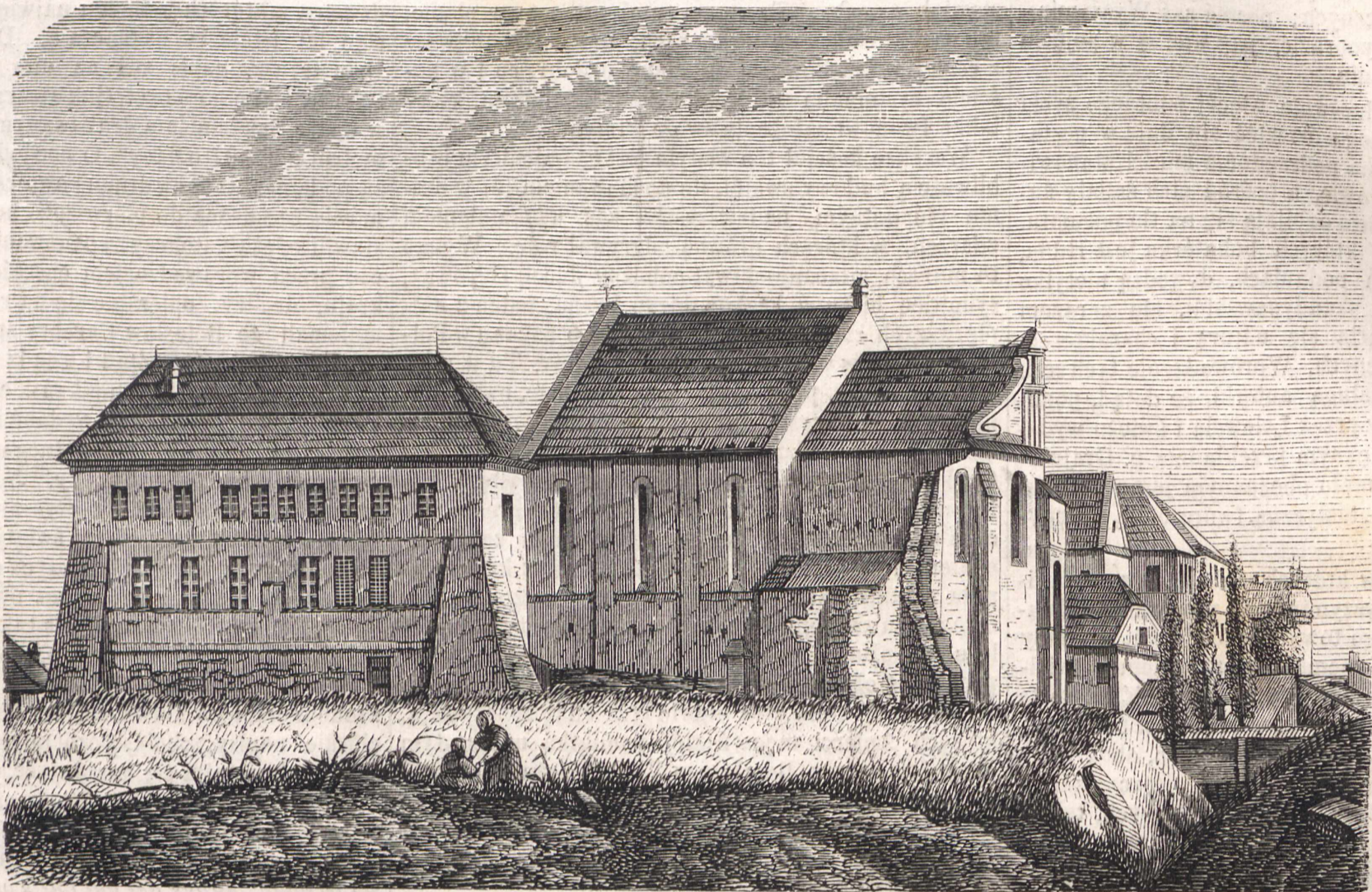
### Zadanie konikowe do nagrody.

(Pod zwykłemi warunkami).

czwar-	te	wsze	wszy-
naj-	wsze	stko	ne;
bra-	piér-	cha-	słu-
cie;	za-	gie	piér-
ci	mil-	w al-	dru-
fa-	wy-	wa-	nie-
z swych	be-	śmie-	sznie
sze	trze-	ne.	cie;

Ostrzegamy że wyraz do tój szarady użyty jest nowy; ale że zrecznie ułożony i dobrze rzecz malujący, więc chętnie go przyjmujemy. Przysporzy to nieco trudności zwolennikom podobnych łamigłówek.

W rogach tablicy u góry herby Leliwa i Świnka, u dołu zaś Zadora i Grzymała. Pomnik ten pocho- dzić może z pierwszych lat wieku XVI, a zło jego zrozumienie także w błąd ks. Siejkowskiego wpro- wadziło. Inne grobowce są: Matyasza Boguckiego, rajcy Sandomierza, zm. 1535, Franciszka Popław- skiego dziedzica na Mokrzy i Rzeczycy, tudzież sy-



KOŚCIÓŁ Ks. DOMINIKANÓW W SANDOMIERZU.

nów jego z roku 1625, nakoniec jeden beznapisowy z XVI stulecia, który wyobraża leżącego w zbroi ry- cerza, w rękę trzymającego czekan i mającego przy boku miecz, a w nogach hełm. Pomnik ten, niezgra- bniój dółtem z wapiennego wykuty kamienia, według podania ma przedstawiać Rafała Granowskiego mar- szałka wielkiego koronnego, hetmana i starostę san- domierskiego; jak chce Okolski, na co jednak żadne- go nie masz dowodu; raczój to bójdzie nagrobek któ- rego z Sieniawskich, co się także z Granowa pisali. Na innych pomnikach napisy tak zatarte, że teraz odczytać ich już niepodobna. W ogólnosci kościół św. Jakuba, jako rzadki zabytek, tak ze względu dzie- jów sztuki, jako i starożytnosci w nim się znajduj- acych, zasługuje na troskliwą opiekę, o której wąpić nie można, przy znanój gorliwosci terażniejszego przeora, starającego się wszelkimi siłami o jego pod- dzwignienie i dobre utrzymanie.

### HRABIANKA DYNIA,

O B R A Z E K.

Skreślił

Teod. Tom. Jeż.

(Dalszy ciąg.)

Hrabianka Dynia miała nieco do dyni podobień- stwa, a to dlatego, że podobną była do papy. To jój jednakże nie przeszkadzało być wcale ładną panną. Młodziej wyższej sfery towarzyskiej, ta która, z po- wodu zapewne piankowej czy szumwinowej lekkości swojej, pływa po wiérzchu, powiała o niój:

— *La petite comtesse Dinia n'est pas mal du tout.*

I rzeczywiście była ona *pas mal*, ale nie była *pe- tite*. Wzrostem sięgała papie po ramię, co jój nada- wało pewną okazałość i neutralizowało wydatność tuszy, która ściśle zastosowywała się do wzrostu. Nie była to dziewczica smukła, powiewna, przezroczy- sta, ale raczój pełna i zamaszysta. Blond, bujne wło- sy dobrze odbijały od piwnych oczu, ciemnych rzę- sów, ciemnawych, cienkich i regularnymi łukami wy- giętych brwi i od białego, lekko orumienionego, de- likatnego pćcia i krągłego oblicza, na którój, na po- liczkach, uśmiech dołki formował iszeregi białych,

perłowych zębów pokazywał. Usta zaś jój nie obwi- sały, jak papine, ale przeciwnie jedrnie a różowo i kształtnie pomiędzy policzkami się rysowały, z uśmiechnionymi dołkami harmoniowały. A oczy jój nie miały papinego wyrazu zaspania, ale przeci- wnie żywo i ciekawie patrzyły.

Patrzyły one żywo i ciekawie, w takich jednakże tylko razach, kie- dy hrabianka była *à son aise*, a ta- kim razem nie był ten, w którój pod- nosiły się po raz pierwszy na Par- feniego i spotkały się z jego pełnym wyrazu spółczucia wzrokiem. Po- spieszam jednak- że dodać, że tylko spółczucia dla nieszczęścia, a ża- dnego innego.

Zaprzeczyć nie można, że hra- biankę spotkało nieszczęście. Te- mu jednak także zaprzeczyć nie można, że w nie- szczęściu rozto- czyła nad nią skrzydła jakaś o- pieka, która ją nietylko od kale- cstwa, ale także i od zbytecznego pokaleczenia o- chroniła. Trochę krwi na twarzy, parę sińców i pa- rę guzów, pozdzieranie skóry z rąk, ponatłukanie łokci i kolan, nieład włosów, potarganie odzieży, ból od stłuczenia, oto wszystko. Żaden z członków nie był ani złamany, ani zwichnięty, z czego wnioskować można, że hrabianki członki wcale nie były kruchemi.

(Ob. Dod.)

### REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 59.  
Ludzie serca wielkiego nie stoją o marne świata  
tego oklaski.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 41.

Białe.

- 1) F 3 — H 5 † . . .
- 2) D 8 — D 6 . . .
- 3) D 6 — D 7 † . . .
- 4) H 2 — D 6 † i mat.

Czarne

- 1) F 7 — E 7.
- 2) E 5 — A 5 biorą.
- 3) E 7 — D 7 biorą.

Gdy czarne w drugiem posunięciu biją laufra H5, to:  
3) A 5 — D 8 † . . . 3) E 7 — F 7 lub E 8 bio.  
4) H 2 — H 5 biorą † i mat.

Widocznój jest że gdy czarne w 2giem posunię- ciu biją wieżę, lub nie użyją wyżej wskazanych środ- ków, mają mata za 3ciem posunięciem.

Odmiana.

- 1) F 3 — H 5 † . . . 1) H 4 — H 5 biorą.
- 2) H 2 — H 5 † biorą. 2) F 7 — E 7.
- 3) E 8 — D 6 . . . Jakkolwiek.
- 4) H 5 — E 8 lub F 7 † i mat.

(Dodatek.)

Mogłaby ona wstać i kulejąc wprawdzie, mogłaby o własnych pójść siłach. Ale ją bolało, a bardziej od bólu przenikał ją jakiś przestach z niezwykłości pochodzący wypadku. Więc nie mogła się obejść bez pomocy, a niemniej nie mogła powstrzymać się od tego powszechnego następstwa przestachu i bólu, które u kobiet i dzieci wyraża się łzami. Rozplakała się.

— Pani dobrodziejo... przemówił do niej Parfeni.

— Och!... oj!... odpowiedziała hrabianka.

— Niech pani dobrodziejo z łaski swojej wstanie.

Hrabianka spojrziała na Parfeniego z zadziwieniem, jakby zdumiona dziwactwem propozycji.

Nasz kleryk zapomniał, że w takich razach podać damom należy ramię, podnosić je, dźwigać.

— Niech pani dobrodziejo podniesie się z łaski swojej... powtórzył, zniżając głos do tonu jaknajtroskliwszej dobroćliwości.

— Oj, nie mogę... wyłkała hrabianka.

— Cóż robić?... zapytał pół siebie, pół ją Parfeni.

— Oj... powtórnie jęknęła zapytana i za całą odpowiedź wyciągnęła do Parfeniego rękę.

Parfeni zrozumiał o co chodzi. Wziął się do podnoszenia hrabianki z ziemi.

Podnoszenie to było dla niego trudem niepospolitym. Nie wiedział jak sobie poradzić, jak się wziąć.

Słyszał o szacunku należnym paniom wielkiego świata; w potłuczonej nieznanym widział najwyraźniej jedną z owych pań, i obawiał się, aby jęj w czem nie uchybić.

Więc próbował, zachodził, przemyślał, aż udało mu się nakoniec nie podnieść, bo hrabianka sama, trzymając go tylko za rękę, z horyzontalnego podniosła się położenia, ale ujrząc ją siedzącą. To go uradowało. Myślał że na tém koniec.

I już tylko z uśmiechem na ustach spoglądał na hrabiankę, i chciał coś do niej przemówić, gdy usłyszał następujące płaczliwym tonem wymówione wyrazy:

— Księżu dobrodzieju... niech też dobrodziejo zlituje się... niech mnie dopomoże...

Wyrazy te pochodziły od lokaja. Ten mocował się z hrabią, ale sam żadną miarą nie mógł sobie dać rady.

Hrabia jęczał, postękiwał i jak kloc leżał rozciągnięty na ziemi. Lokajowi udało się tylko przewrócić go do góry twarzą. O! jakże ta twarz wyglądała! Krew ją zalewała. Nie znać na niej już było jedynych człowieczych jęj znamion: oczu, nosa i warg.

— Niech mi ksiądz dobrodziejo dopomoże, choć posadzić pana hrabiego... domawiał lokaj błagalnie.

Parfeniemu, trudno zgadnąć dlaczego, po raz pierwszy w życiu wyrazy „ksiądz i dobrodziejo“ jakoś niemiłe w uchu zabrzmiały. Bywało, nadymał się on, gdy kobiety wiejskie, zwiedzone jego sutanną, całowały go w rękę i nazywały proboszczem.

Teraz mu tytuły duchowne nie w smak poszły. Nie zraziły go jednakże od pomocy, o którą był wzywany.

Podszedł do hrabiego i wspólnie z lokajem póty pracował, póki go nie posadził.

Hrabianka przeraźliwie krzyknęła, gdy ujrzała w jakim stanie znajdował się jęj ojciec. Zachciała ona biedz ku niemu, i już się była zerwała, ale ból ją zatrzymał. Płakała więc tylko i boskiego wzywała ratunku.

Jęj płacz stał się dla naszego kleryka rodzajem podniety. Troskliwie kręcił się około hrabiego, i pierwszy domyślił się potrzeby wody.

— Wody... rzekł.

— Wody!... na miłość Boga, wody!... zawołała hrabianka.

Na tęg jednakże wysokości, na jakiej oni znajdowali się, trudno było o wodę. Należało po nią zbiedz na dół. Ale zbiedz po wodę i wnosić ją, znaczyło podwójnie tracić czas.

Lepiej było sprowadzić chorych i zarazem zbliżyć ich do skuteczniejszych środków ratunku, jakie oni, jeżeliby potrzebowali, w Nadwornie znaleźć mogli.

### III.

Parfeni gotów był skoczyć na dół po wodę i napowrót wybiedz z nią na górę, i już nawet miał ten zamiar do skutku przyprowadzić, ale chwilka rozmysłu kazała mu w tesłowa do hrabianki się odezwać:

— Lepiej, pani dobrodziejo, my zejdźmy na dół do wody...

— Jak: zejdźmy?... zapytała pani, z przyciskiem na „zejdźmy“, jakby dla powiedzenia, że nie wszyscy zejść są w stanie.

(Dodatek do Nru 60 Tyg. Ilustr.)

Pojął Parfeni co to znaczy; zmieształ się nieco, bo obawiał się aby go pani nie posadziła, broń Boże! o obojętność lub lenistwo, i odrzekł:

— To jest, tylko patrzeć, jak nadciągną tu moi rodzice z bryczką... Wsadzimy wielmożnych państwa dobrodziejstwa i zwieziemy...

— O! jakże my potrafimy wywdziękzyć się księdzu.

Tu urwała hrabianka, jakby w język się ukąsiła, popatrzyła pilnie na Parfeniego i poprawiła się:

— Wywdziękzyć się *panu*, za jego dobroć...

— To jest, pani dobrodziejo, wielkie dla mnie szczęście... taka drobna usługa... takiemu państwu...

wyjął Parfeni, po same uszy zaczerwieniony.

I nastąpiła chwila, w której hrabianka, utuliwszy się powoli w płaczu, milczała i wzdychała; hrabia jęczał i stękał, lokaj podtrzymywał hrabiego, a Parfeni spoglądał po drodze.

Ten ostatni spoglądał z niecierpliwością, a niecierpliwość jego co chwila wzrastała. Wyglądał bowiem rodziców z wózkiem, a tu, jak na toż, ani rodziców, ani wózka widać nie było.

Obrachowując czas, doszedł on do tego przekonania, że oni dawno już powinni byli nadciągnąć.

— Co to znaczy?... czy się zatrzymali?... zapytał sam siebie.

— Pójdę, zobaczę... odpowiedział sam sobie.

I ruszył.

— Pani!... ozwał się za nim srebrzysty głos.

Parfeni zatrzymał się i drgnął, jakby go jakaś niewidzialna szarpnęła potęgą, i zwracając się na miejscu:

— Słucham... odezwał się. Co pani dobrodziejo rozkaże?...

— Nie opuszczaj nas pan... prosiła hrabianka. Panie...

Zrazu Parfeni okazał gotowość ślepo wypełnić rozkaz, i już zrobił ruch powrotu: bo ten rozkaz, czyli prośba (a wiadomo że prośba w ustach damy ma siłę rozkazu), tak mu jakoś na wskrós serce przeniknął, jakby jaki czar.

Lecz przypomniał sobie po co miał iść. Więc tłumaczył się:

— Ja, pani dobrodziejo, chcę tylko skoczyć i zobaczyć co to się znaczy, że moi rodzice nie przyjeżdżają...

— Ale powracaj pan jaknajprędzej... na miłość Boga!... Pani!... nie opuszczaj nas!... błagalnym tonem wygłosiła hrabianka.

— Zaraz!... za chwilkę!... zawołał Parfeni i puścił się pędem.

I szybko biegł, i raptem, jakby piorunem rażony, zatrzymał się, a zatrzymał niedaleko, niedalę, jak o półtora kroku od miejsca z którego ruszył.

Cóż go zatrzymało? Nie rozkaz hrabianki, bo ten nie doszedł jego uszu, ale widok jakiego się bynajmniej nie spodziewał: strzaskane i rozmiotane po drodze szczątki wózka i trup jednego z koników ojcowskich.

Parfeni stanął zdumiony i milczący, a na tle myśli jego zformułowało się zapytanie:

— Co to się stało?

Na zapytanie to nikt nie mógł dać odpowiedzi: bo na całej drodze, jak po niej daleko wzrokiem sięgnąć można było, ani jedna ludzka nie dawała się widzieć istota.

Parfeni stał wśród połamanych kół, zdruzgotanych drabinek, poszarpanej budki i rozrzuconych tu i owdzie osi, kołków, kawałków dyszla, luszni, wśród pierza z poduszki, podartej kołdry, porzucanej bielizny i książek. Zabity konik leżał wyciągnięty w poprzek drogi.

Nieopisana jakaś trwoga przejęła bohatera naszego.

— Mój Boże! mój mocny Boże!... zawołał głośno. Co to się stało?...

„Co to się stało?“ powiedzianem było chyba tylko dla formy, bo już Parfeni domyślił się co, i odnosiło się ono nietylko do tajemnicy wypadku, ile do rodziców, którzy gdzieś znikli.

Zniknięcie rodziców było dla bohatera naszego rzeczywiście zagadkowym i niepokojącym. Sam bowiem wypadek już mu się nie wydawał nadzwyczajnym.

Powóz wpadł na wózek, wyrzucił go i połamał: cóż w tém było dziwnego? i zabił konika,—i to jeszcze było rzeczą naturalną. Ale w szczątkach wózka wybrały się dały kawałki, które mogłyby posłużyć do zbudowania nowego.

Znajac ojca, wiedział, żeby tego nie zaniechał. Wyobraźnia stawiła mu go chodzącego powoli pomiędzy ruinami wózka, rozmyślającego i według miejscowego wyrażenia *sztu-*

*dyrującego*. Cóż mogło być powodem, że go tu nie było?... Znajac matkę, wiedział jak ją obchodziły wszelkie do niej należące węzłki, bielizna, pościel, jak troskliwą była o każdą szmatkę.

Wyobrażał ją sobie zirytowaną, chodzącą, zbierającą, składającą i narzekającą. Cóż mogło być powodem, że jęj tu nie było?...

Nie mógł sobie na te pytania odpowiedzieć. Spoglądał po drodze. Widział całą jęj długość na pochyłości kończącej się aż w Nadwornie, i na całej długości nikogo.

Przyszedł mu na myśl drugi konik. Obejrzał się dokoła siebie i ujrzał go nieopodal od drogi. Podszedł ku niemu. Konik pasł się spokojnie.

Zobaczywszy go zbliżającego się, podniósł łeb, zastrzygł uszami i zarżał, ale zarżał tak z cicha i żałośnie jakby tłumionym zapłakał płaczem.

Biędny konik: przednią nogę miał strzaskaną.

Parfeniemu zrobiło się bardzo smutno. Coś, niby rozpacz, ścisnęło mu pierś i wydarło się z niej głośnym a pełnym jakiegoś niespokojnego drżenia wołaniem. Zawołał:

— Tatu!... tatkul!...

Karpaćskie echa pochwyliły te wyrazy i z jakimś jakby szatańskim chichotem roznosiły je po gór wozach.

Zawołał: — Mamol!...

Karpaćskie echa zaśmiały się wyrazem „mamol!“

Biędny chłopiec nie wiedział co począć. Szukać rodziców, ale gdzie?... Na drodze ich nie było, w lesie być nie mogli; może w Nadworniej? może; ale jakżeby mogli tam pójść, rzucając na publicznym trakcie szczątki wózkowego rozbicia?...

Może... Przy ostatnim „może“, które gwałtem prawie cisnęło się do myśli Parfeniego, w oczach mu to ciemniało, to żółkło.

— Boże! och! Boże!... zawołał, kogo tu zapytać?... komu powiedzieć?...

W takim stanie ludzie szukają ludzi, instynktowie garną się jedni do drugich, szukając pomocy i spółczucia.

Parfeni, nie widząc nikogo na drodze, przypomniał sobie, że wyżej nieco, o półtora kroku, zakryci zagieciem szosy, są ludzie: że tam jest pan i jego lokaj, ale ci prędko mu jakoś przez przypomnienie przemknęli, że tam jest pani.

Ta ostatnia stanęła mu w pamięci i pozostała w niej. Ojciec, matka i ona przedstawili mu się jakby jedną postacią. A przytém zabrzmiały mu w myśli ostatnie jęj wyrazy:

— Pani! nie opuszczaj nas!...

I coś w głębi duszy wyszeptano: — W niej znajdziesz spółczucie...

Zawrócił się więc i poszedł ku niej. Za powrotem swoim zastał rzeczy w odmiennym nieco, jak zostawił, stanie.

Hrabia odzyskał siły, a raczej przytomność. Upadek jego nie był niebezpiecznym. Całe nieszczęście zważyło się mu na oblicze, którym po drobno potłuczonych a ostrych kamykach szosy z ukosa się pośliznął.

A że oblicze jego było tak krwią napęczniałe, że zdawało się, iż byle je szpilką przekłuć, to tryśnie z niego krwi fontanna, przeto, podarte przez kamyki, oblało się krwią, i na tém koniec. Innego, dotkliwszego szwanku hrabia nie doznał, a jego jęczenie i stękanie pochodziły bardziej z przestachu, jak z bólu.

Gdy więc przestach minął, powróciły siły, a z nimi i przytomność, która w chwili kiedy Parfeni dochodził z powrotem, wyrażała się łajaniem lokaja i furmana, i troskliwem rozpytywaniem córki.

— Trzymajże mnie, osle, pod ramiona!.. przemawiał do lokaja.

— Ten łajdak nie stanął, kiedy orczykowy wierzgnął... Odpędzę go!... odzywał się o nieobecny furmanie.

— Jakże się czujesz, moja Dynio?... mówił po francuzku do córki.

— Boli mnie, papo... odpowiedziała Dynia.

— Ach! *ce coquin!* Wołałem: stój! stój!... Och! gdyby tu był ten łajdak, z pod kijówby nie wstał!... Ale potrafię ja mu dogodzić!...

Tu hrabia głęboko westchnął. Tém westchnieniem wyraził się cały żal za dawnymi, lepszymi czasami, w których, wedle wyrażenia poety: „nieposłuch był chłopu trumną.“

— Jakże się czujesz, papo?... pytała Dynia.

— *Moi?.. Ah!... mais je suis tout mutillé.*

— Al! oto i nasz wybawca!... zawołała hrabianka,

ujrzawszy kleryka. Pana tak długo nie było... Cóż, bryczka?..

— Cóż, bryczka?... podchwycił hrabia. Byle jaka wygodna, bo jestem całkiem zbolały... Czy na resorach?

— Pani dobrodziejko!... wygłosił drżącym tonem Parfeni. Niema bryczki!... niema moich rodziców!...

— Jakto? jakże to?... Wszak pan mojej córce przyrzekłeś! wszak ją zapewniłeś!... odezwał się hrabia tonem wymówki.

Parfeni, tknięty nieco tym tonem, nie mógł od razu zdobyć się na odpowiedź. Hrabia zaś dodał:

— Niech bryczka przyjdzie.... Nie chcę darmo.... Nic darmo nie przyjmuję.... Taki mój zwyczaj.... Zapłacę, tylko niech przyjdzie natychmiast...

— Ależ bryczki niema już, panie hrabio dobrodzieju....

— Jakto być może?... przerwał hrabia Parfeniemu. Przecie pan, jak widzę, kształcisz się na księdza, na kapłana, to powinieneś mieć litość nad nieszczęściem, tém bardziej, że ja za litość zapłacę.... gotówką zapłacę...

— Ależ, panie dobrodzieju... podniesionym nieco tonem powiedział Parfeni. Powóz pana hrabiego połamał na drobne kawałki bryczkę moich rodziców i...

— To ten mój furman temu winien!.. Pan mu zrobisz proces... Ja panu pomogę... Mam stosunki i wpływy.... Ja proces biorę na siebie... rzekł hrabia. Wołałem: stój! natychmiast, jak orczykowy wierzgnął... On nie posłuchał!... O! dogodzę ja mu!...

Treść mowy i doniosłość organu dowodziły dostatecznie, że hrabia był i przy zmysłach, i przysilach.

— Cóż teraz robić? zapytał po chwili. Tak na trakcie pozostać nie możemy...

— Próbujmy zejść na dół... zaproponowała hrabianka.

— Ach!... stęknął hrabia, niby z bólu. Ale niema co... *Il faut s'y décider... C'est le seul parti à prendre...* Bo czekając, możemy się niczego nie doczekać, albo jakiegoś drabiniastego woza, *qui nous briserait* do reszty... *Allons!*...

I stękając, pojękując a wzdychając, począł się dzwigać.

Narzędziem podpory hrabiego był lokaj. Ten, jeżeli popełnił większe jakie od powszednich grzechy, to taki przebył czyściec, że z pewnością wszystkie zostały mu odpuszczone. Bo chociaż nie był ułomkiem, ale hrabia był tak ciężkim, a przytém tak kapryśliwym i wymyślał, że biędnego człowieka i rozum i siły opuszczały. Pod panem swoim i fizycznie i moralnie się łamał, i tylko myślał sobie w duchu:

— Otóż to kara boska!...

Albo, czystym galicyjskim wyrażając się językiem:

— Otóż to *sykatura!*...

Jak mu było na imię, tego żadną miarą dowiedzieć się nie było można, bo hrabia mianował goniaczem, tylko: ośle!

Osiel ów, obłany potem, prostujący się z całym potęgą swojej wysiłkiem, podpierał hrabiego, który zwał się nań całym ciężarem swojej postaci, prawą ręką obejmując go za szyję, a lewą trzymając to za kłapę, to za kołnierz od liberyjnego surduta, i bardzo, bardzo powoli suwając nogami.

Podźwignienie i prowadzenie hrabianki dostało się Parfeniemu. Podźwignienie poszło łatwo. Hrabianka ujęła naszego kleryka za ręce i sama powstała; ale gdy przyszło iść, to nie mogła na samém tylko zawieszeniu się na jego ramieniu poprzestać. Nie miała się czém zawiesić, bo ją i prawa i lewa ręka bolała, a ból w nogach koniecznym czynił podtrzymywanie i podnoszenie jęj. Parfeni przeto i podtrzymywał i podnosił.

I radby ją był tak długo, długo a coraz powoliej i powoliej prowadzić, a radby dlatego właśnie, że był smutny. Zdawało mu się bowiem, że on z nią złał się w jedno, że ciche jęj pojękiwania były nie czém innym, jeno tonami z jego własnego wydobywającymi się serca.

— Ona boleje, i ja boleje: — oto był nastrój spólny, w którym dwa ich serca się zharmonizowały.

Bo nic tak ludzi nie zbliża ze sobą, jak spólność. Spólność położeń trwarzyskich, spólność przekonań, spólność wiary, spólność smutku, radości, nadziei, boleści, spólność jakakolwiek jest tym mianownikiem, który dwom i więcej jednostkom człowieczym pozwala dodać się w sumę jednej zbiorowej cyfry. Pierwszym zawiązkiem takiej sumy jest rodzina. Pierw-

szem zawiązkowym uczuciem jest to, które rodzinę kojarzy, które w jedno dwie ludzkie jednostkowe zlewa połowy.

Parfeni i hrabianka Dynia byli dwiema owemi ludzkimi, jednostkowymi połowami, które spólnie bolały, spólnie się smuciły, spólnie ze spólnego powodu doznały nieszczęścia. Cóż z tego wypada? Jeszcze nic. Zobaczymy później.

Tymczasem hrabia stękał i jęczał, a hrabianka zaczęła rozmowę:

— Proszę... rzekła — takie wielkie nieszczęście, z takiego małego powodu...

— Z jakiego?... proszę pani dobrodziejki... zapytał Parfeni.

— Bagatel... koń wierzgnął... odparła hrabianka.

— Gdyby ten łajdak był stanął, kiedyś mu kazał, toby do tego wszystkiego nie przyszło... wtrącił hrabia.

— Tego to, proszę jaśnie wielmożnego pana, konie się zlekły, że hrabia pan krzyknął... odezwał się lokaj, i Andrzej nie mógł ich zatrzymać...

— Milcz ośle, kiedy się ciebie nikt nie pytał... burknął hrabia.

— *Il a peut-être raison...* zauważyła hrabianka.

— *Il ne doit pas faire des remarques... canaille!*... odparł hrabia.

Lokaj zrozumiał z tego tylko dwa wyrazy: *raison* i *canaille*, i tak sobie pomyślał:

— Ona powiedziała, że ja mówię z rezonem, a on odpowiedział, że ja kanalia... Bodaj w ciebie najjaśniejszy piorun trzasnął, niedźwiedziu!...

To ostatnie życzenie ściągało się wyłącznie do osoby hrabiego.

— Pan masz tyle z mego powodu ambarasu... rzekła hrabianka do Parfeniego słodkim głosem. Przepraszam pana... bardzo przepraszam...

— To nic, pani dobrodziejko, nie bynajmniej, odrzekł kleryk, zacerwienił się i zadrżał, jakby zląkł się brzmienia własnych wyrazów.

Hrabianka ścisnęła lekko usta, zrobiła niemi leciuchny ruch i bardzo nieznaczny uśmiech przesunął się po jęj twarzy.

#### IV.

Hrabianka Dynia Wierzgalska, córka jedynaczka hrabiego Henryka, była wielką panią, na wielkim świecie, w wysokiej sferze towarzyskiej urodzoną i wychowaną. Dlaczego nosiła ona imię „Dynia“ — w to nie wchodzimy. Była ona zapewne Dynią, jak bywają Binie, Minie, Tonie, Monie i t. p.; amatorom zaś dyń to ją zaleci, że, jak wyżej powiedziałem, miała nieco do tego owocu podobieństwa, podobieństwa jednakże w najlepszym, a nie w żadnym ironicznym sensie, takiego, że przez nie można było w dyniach się rozmiłować.

Jedynaczka, i hrabianka, i Wierzgalska, to wszystko ma swoje znaczenie. Zapyta mnie ktoś może: dlaczego Wierzgalska? — Dlaczego?... Oto, krótko powiem: dlatego, że tak się nazywała, i kwita. W pochodzenie zaś jęj nazwiska wchodzić nie będę, bo nie mam ochoty rozgrzebywać w tęg chwili historyczno-społeczno-moralnych powodów, skutkiem których różni Wierzgalscy i Niewierzgalscy przyszli do hrabiostwa.

W Galicyi hrabia i baron, w połączeniu z niższym nieco w tęg kategorii tytułem *Ritter (chevalier)*, urobiły postać towarzyską, typową, która wydzieliła się z tła szlacheckiego i stanęła oddzielnie. Szlachcic i hrabia, są to dwie rzeczy odmienne, różne, niepodobne do siebie, jak niebo do ziemi, jak pięść do nosa. Ależ — powiedzą — hrabiowie rekrutują się ze szlachty! To cóż z tego? Rekrutują się oni ze szlachty tak samo, jak na przykład jezuita z ludzi. W tęg także da się pewna z jezuiteryą analogia dopatrzeć, bywają bowiem jezuita w rewerendach i we frakach. Hrabiowie w Galicyi jednakże nie stanowią zakonu, ani pewnej jakiejś korporacji, nie mają ogólnych celów, do którychby zbiorowemi dążyli siłami, nie mają wyrozumowanych środków, któremi by wspierali i potęgowali te siły. Jest to sobie sfera towarzyska, zaledwie samowiedzę odrębności swego istnienia posiadająca.

Nastaje na to, aby mnie dobrze zrozumiano: że odróżniam sferę szlachecką od hrabiowskiej. Dla lepszego mojej myśli uwydatnienia, dodam jeszcze, że pierwsza rozszerzyła się tak, iż po za nią niewiele pozostało. Ogarnęła ona sobą i wkluczyła w siebie wszystkie żywoły dodatnie, pomiędzy którymi odbywa się obe-

nie pewien rodzaj fermentu, jak w beczce młodego wina. Stara szlacheckość gra tam rolę winnego lagru.

Godném jest uwagi, że hrabiowie galicyjscy, nie mający nic ze szlachtą spólnego, ilekroć zaatakują ich kto w ich sferze, zawsze kryją się za szlachtę, zastawiają się nią, robiąc z niej dla siebie pewien rodzaj parawanika. „Patrzcie! — wołają — oto na nas, na szlachtę napadają!“ I alarmują szlachtę, wionąc jęj przed oczami, niby hiszpańskie tereadory sukno czerwone, widma demagogii. Są prostoduszni którzy temu wierzą. Ha! cóż robić?... Toż bez głupców w świecie ani rusz. Ten wszakże manewr okazuje dowodnie, jak w ich sumieniu niema gruntu. Ich bowiem żaden krajowy rozwój, jeżeli tylko niema bezpośredniego z powiększeniem intraty z dóbr związku, nie obchodzi. Ich literatura krajowa nie interesuje. Piszą tam coś o nich, często gęsto, po powieściach, po dziennikarskich artykułach, wyciągają ich postacie i stawiają je oświetlone niekiedy dobrze, najczęściej źle. Oni o tęg i nie wiedzą, ani wiedzieć chcą. „Co tam, że piszą; pies szczeka, wiatr niesie.“

Potrzedném mi było króciutkie to zcharakteryzowanie hrabiów galicyjskich, dla wykazania sfery, w jakieg bohaterka niniejszég powieści wyrobiła i wychowała się.

Hrabianka Dynia wychowała się z razu na rękach, a następnie pod opieką Niemek, Francuzek i Angielek. Umiała ona po polsku dlatego jedynie, że nie umieć nie mogła — nie mogła, bo hrabia Wierzgalski nie posiadał tak wielkiego majątku, aby był w stanie oddalić od córki zupełnie mowę rodzinną. Oddalał on ją o ile mógł; nie jego wina, że przedarła się ona do jęj jedynaczki. Wina to raczej losu, który zabronił mu trzymać cudzoziemców, nietylko jako gubernatorów i gubernantki, ale także jako kamerdynerów, lokajów, pauny służące, garderobiany, a kiedy jeszcze Dynia była malutką, jako mamki i nianki. Dynia przeto nauczyła się po polsku, najprzód od mamki i nianek, a potem od kamerdynerów, lokajów, pańien służących i garderobian. Mogła się rozmówić dość płynnie i bez akcentu, i to najzupełniej zadowalało hrabiego.

— Jeżeli będzie w takim położeniu, myślał sobie, że będzie musiała mówić krajowym językiem, to może się dać zrozumieć... to dla niej dosyć; a jeżeli znajdzie się w takim, że będzie mogła obejść się bez mówienia po tutejszemu, to z łatwością przyjdzie jęj zapomnieć... i niewielka szkoda, *ma foi!*..

Do tego myślenia hrabiego, malutki dodać muszę komentarz.

Pod „położeniem, w którym będzie musiała mówić krajowym językiem,“ rozumiał on, jeżeli wyjdzie za mąż niezbyt bogato i w Galicyi. Troskliwy ojciec interesował się przyszłością córki. Chciał, żeby sama, bez pośrednictwa tłumaczy, zdołała być panią domu, żeby mogła z oficyalistami i sługami się porozumieć. Hrabia przeto nie mógł nie życzyć córce tęg dogodności, a zatém, nie tolerować szczebiotania i paplania sroczym sposobem z tymi, którzy także po sroczemu językiem narodowym władali. Klassami, w których odbyła się jęj edukacja polskiego języka, były: najprzód garderoba, a następnie gotownia i sypialny pokój; godzinami zaś te, w których ubierała się, czesała i rozbięrała. O literaturze nie było ani mowy; o historii, tęg mniej.

Pod położeniem zaś „w którym będzie mogła obejść się bez mówienia po tutejszemu,“ rozumiał hrabia, że jedynaczce jęj trafić się może świetna karyera, która ją od stosowania się do potrzeby uwolni: że np. zostanie małżonką jakieg bogacza, jakiego z takich, w jakich Galicya nie nader obfituje, albo-li tęg którego z tych, co, chociaż nie pieniądze, ale grzeją się przy wielkiem ognisku, lub mieszkają za granicą.

Hrabianka tedy wychowaną była dobrze, bo wiedziała o wszystkim, co prosto lub ubocznie sukcessa salonnego zapewnić może. To wszystko, wiecie co to? To nic. Bo jeżeli tak wychowana kobięta nie poczuje w sobie jakieg czysto-artystycznego powołania, jeżeli jęj dusza nie zapragnie na świat wylać się tonami, ani rozmiłuje się w barwach lub kształtach piękna, to musi rozplynać się w nic. Po za artyzmem bowiem, po za tęg jakowag lekką a łatwą estetyką, jaką w nią metrowie muzyki, malarstwa i tańca wpajają, nikt jęj ducha niczém podnioslejszém nie karmi, nikt jęj obywatelskiego przyszłég żony i matki uczucia nie kształci. Francuzki, Angielki i Niemki

nadziejają jej umysł jakąś encyklopedyą kosmopolitycznych wiadomości, bez których mogłoby się obejść, napychają ją, jak lalkę, otrębami wiedzy i moralności, i wydają w rezultacie: salonową a żurnalową lalkę. Która więc w charakterze nie ma nic swego, nie samoistnie w duszy tkwiącego, ta staje się pozytywką, mogącą zagrać z każdego tonu, albo pewnym rodzajem *enfant prodige*, umiejącym na wszystko odpowiedzieć, w każdej materii się odezwać. Dwcip jest jej najwyższą rozumową doskonałością. On ją prostą drogą do królowania w salonach prowadzi; on w niej bardzo, bardzo często kobiecość, uczucie zabija, serce spopiela, ją samą zatracając... A jeżeli która się uratuje, to tym jedynie, że się w jej sercu jakaś isierka pod popiołem odnajdzie, isierka zapomniana, której edukacja nie wytropiła, a przykłady nie zagasiły. Isierka ta rozpala się niekiedy w płomień, i zwykle dramatyczne, a czasem tragiczne sprowadza rozwiązanie.

Hrabianka Dynia miała serce systematycznie studiowane i doszła do tej doskonałości, że nie można już było domyślać się, aby w niem tlała jeszcze isierka jaka. Patrzyła ona na świat, jak to powiadają, trzeźwo i praktycznie, ze szczególnym baczeniem na to, aby się nie dać oszukać. Z jakiej strony spodziewała się ona oszukaństw? A, ze strony tych, co się o jej rękę dobijali. Ona wolałaby nie iść za męża, i być sobie, nie starą panną, broń Boże! ale rodzajem starego kawalera w kobiecej postaci. Wiedziała jednakże iż to być nie może, więc przynajmniej chciała dobrać sobie małżonka i do gustu, i do humoru, i do widoków.

Hrabianka nie była ani pozytywką salonową, ani *enfant prodige*, a to dlatego, że w charakterze swoim miała samoistność. Pod lalkostwem przeto zewnętrznym, urobionym przez guwernantki, była także *sobą*. A że dla wyrażenia swojej samoistności charakterowej, nie miała żadnych form nowych a oryginalnych, pomiędzy starymi więc szukała, i wybrała te, które jej najbardziej do gustu przypadły.

Wybrała emancypatyzm. Hrabianka Dynia była: *femme emancipée*.

Nasza tedy bohaterka, z którą należy bliżej się zapoznać, liczyła dwadzieścia trzy lat, pijała wino, paliła papierosy, jeździła konno, strzelała z pistoletu, grała w bilard, a przytém... nosiła gorset i krynolinę. Z mężczyznami była poufale, a z niektórymi nawet w przyjaźni, przyjaźni, dodać należy, nie na wzajemnym szacunku, ale na wyścigach konnych opartej. Hrabiankę wyścigi interesowały niesłychanie, i wyścigowicze mieli u niej przed wszystkimi innymi pierwszeństwo. Byli oni, w braku lepszych, jej bohaterami; w braku lepszych, powtarzam, bo Dynia lepszych przeczuwała, ale ich rozeznac nie umiała, albo raczej, pomiędzy tymi co ją otaczali, nie mogła z nimi się spotkać, bo ich tam nie było, przeto jej się wydało że nigdzie ich niema, że owi ludzie lepsi, doskonalsi są wymysłem, a nie żadną rzeczywistością.

— Lepsi? doskonalsi?... jacyżby oni mieli być?... zapytywała siebie niekiedy.

A odpowiedź jej w następujący formułowała się sposób:

— Najprzód: zdrowi ciałem....

Oglądała się za „zdrowymi ciałem“ i widziała ich w niższych sferach społecznych: pomiędzy chłopami, pomiędzy ofycjalistami, w sferze służebnej, podrzędnej, w której człowiek jakoś się jej nie pełno wydawał, jakoś niby ptak z wyskubanym pierzem.

— Powtóre: rozumniejsi od wyścigowiczów....

Oglądała się za „rozumniejszymi“ i widziała ich odosobnionych, uginających się i stękających pod ciężarem własnej wielkości, która przecie lżejszą do dzwigania jej niż im się zdawała. W tej sferze człowiek przedstawił się jej dziwnie: jakoś niby wielbłąd bez pakunku, któremu przyszła fantazyja udawać, że dany mu od natury garb, to pakunek.

— Po trzecie: poczciwsi...

Tych, to już nigdzie indziej widzieć nie umiała, tylko chyba pomiędzy księżmi, którzy, według jej wyobrażenia, *ex officio* poczciwymi być musieli. Księża jednakże wydawali się jej, jak stracone cyfry w summie ludzkości.

— Po czwarte:...

Coś czwartego kręciło się jej po wyobraźni, ale tak niewyraźnie, tak zasłonięte grubą mgłą salonowo-emancypacyjno-konwencyjonalnych wyobrażeń, że nie mogła tego ująć, ani przypatrzeć się mu. Więc na miejscu tego swego X, stawiała duży znak zapyta-

nia w cudzysłowie. A tymczasem bawiła się zestawianiem w jedno doskonałości ludzkich, i śmiała się serdecznie, myśląc: coby to za ciekawą całość można utworzyć z oskubanego ptaka, z udającego dzwiganie pakunku wielbłąda i ze straconej cyfry. I wyrobiła sobie to przekonanie, że nie sposób, aby człowiek mógł być doskonałym. Najlepiej przekonywała się o tym w sferze w której żyła, robiąc doświadczenia na najbliższych przyjaciółach swoich.

Adaś, niezły chłopiec, zdrow był jak rybka, wyglądał jak wisienka, rumiany, bieluchny, o różowych usteczkach, o miluchnym uśmiechu, niegroźny, pomimo wielkich wąsów i kotletowo z angielska zapuszczonych faworytów, z rozdwojonemi starannie i nadczołem i nad karkiem włosami; był przytém głupszy od swego konia, bo koń przekonał go już kilkakrotnie, że na wyścigach nie wygra, a on upierał się przekonać wszystkich, że wygra.

Baron Alfred miał reputacją rozumu, nabytą z powodu wyjścia na świat przed kilkoma laty pewnej broszury, która sprawiła wrażenie, a której autorstwo jemu przypisano. On jej nie pisał, ani przyznawał się do tego. Powiadał jednakże, iż gdyby zechciał, toby lepiej napisał. To powiadanie stało się podwaliną jego reputacji. On je usprawiedliwiał rezonowaniem, a że i rezonowanie trzeba było usprawiedliwiać, więc przeczytał, a raczej przerzucił kilka książek o ekonomii politycznej traktujących. To ustaliło mu reputacją, którą do wysokości potęgi podniosła podróż do Anglii, odbyta niby w celu ekonomiczno-politycznego studyowania. Podczas owych niby studyów, uwaga jego, rozstrzelona z razu na tysiące przedmiotów, z których sobie sprawy zdać nie umiał, przykuła się do wyścigów konnych i na nich się skoncentrowała. Powróciwszy, cały kapitał swego mienia i wiedzy włożył w wyścigi, zanglomanił, spowaźniał i stał się impertynencko-uczonym. Wszyscy byli w jego mniemaniu nieukami, a z taką niezachwianą pewnością nazywał ludzi durniami, że słuchając go, można było myśleć że to prawda. Obok tego, był to człek aż do żółtości blady, schorowany, wyłysiały, nie mogący widzieć bez szkiełek, nie mogący zrozumieć obowiązku płacenia długów, a tym bardziej nie mający wyobrażenia o moralnych i społecznych obowiązkach. Wielkiem było o jego o rozumie powszechne mniemanie; ale co się tyczy uczciwości, to ta krajcara nie było warta.

Hrabia Ryszard miał dwa przydomki: przezywano go albo *złote serce*, albo *lwie serce*, albo też jeszcze niekiedy *chevalier sans peur ni reproche*, domorosły galicyjski Bayard. Usprawiedliwiał on jedno i drugie. Miał złote serce, bo był wyśmienitym koleżką. Niczego nie odmówił. Każdy potrzebujący jak w dym do niego się udawał, potrzebujący, rozumie się, ze sfery hrabiowskiej. O innych się tu nie mówi. Względem innych złote hr. Ryszarda serce stawało się kamiennym. A, bo też jego sercowe popędy opierały się na tym, co się zwyczajnie nazywa honorem, a co, jak wiadomo, tylko względem równych obowiązuje. Temu to honorowi winien był drugi swój przydomek, będący wynikiem kilkudziesięciu na pałasze i szpady pojedynków. Bił się o byle co, i natychmiast się godził. I zwykle tak było: w pojedynku lwie, a w zgodzie złote jego serce się objawiało, — i uchodził za wysoce honorowego i bardzo zacnego człowieka. Jego słowo znaczyło tyle co weksel, i z tego powodu bywał sędzią na wyścigach, a sumienie, pomimo wielkich nieraz i trudnych powikłań, miał czyste jak bursztyn, czyste, pomimo tego nawet, że raz na wyścigach dzokiej swego Hrycia, przezwanego *Dzordzem*, jak zaczął pocić, pocić, to go aż na śmierć zapocił. Hryc umarł i pochowali go, a hr. Ryszarda sumienie pozostało czystym, szczególnie gdy skrzyżował się w pałasze z kimś, co mu zrobił uwagę, że nie należało dzokiej zbytecznie pocić, i gdy po pojedynku zapisał sprawę na zgodę. Te zgody nadszarpały mu zdrowie. Pomimo brody i wąsów i pomimo trzydziestu niespełna lat, wyglądał jak z krzyża zdjęty. Rozumowe zaś jego zalety były wartości zera: nic nigdy nie czytał i o niezem na świecie, wyjąwszy o wyścigach, nie wiedział.

Takie to trzy znakomitości towarzyskie: zdrow ale głupi i pod względem uczciwości nijaki Adaś, schorowany, mądry i nieuczciwy baron Alfred, schorowany, głupi, ale zacny i honorowy hrabia Ryszard, były w przyjaźni z naszą bohaterką. Wszyscy trzej byli na ożenieniu i każdy z nich radby z hrabianką Dy-

nią stanąć na ślubnym kobiercu, a to głównie z tego powodu, że każdemu do wyokraglenia interesów nie dostawało takiej właśnie summy, jaką posag hrabianki wynosił, to jest czterechkroć stu tysięcy reńskich, mniej więcej. Zmiarkował to hr. Wierzgalski, rozpatrzył majątkowy stan konkurentów i ostrzegł córkę.

— Wiem o tym, papo.... odpowiedziała Dynia. Adaś zruinował majątek na głupstwo, baron Alfred na rozum, a hr. Ryszard na uczciwość.... Trzymam ich dla rozrywki.

Hrabia chrząknął, odął wargi, powieki mu spadły i nic nie odrzekł.

Trzej konkurenci oświadczyli się kolejno hrabiance. Pewnego pięknego wieczora, pomiędzy herbatą a kolacją (hr. Wierzgalski pijał herbatę i jadał skrupulatnie kolację), przy pewnym niespodzianym *tête à tête*, Adasiowi zebrało się raptem na wzdychanie, przypatrywanie się pilne własnym paznogciom i lekkie pochrząkiwanie.

— Wiem, o czym pan myślisz... odezwała się Dynia.

Adaś się zarumienił, pogładził wąsy, uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nie myślę....

— Myśli pan, czy nie myśli, to mi wszystko jedno, ale ja wiem, jaki w tej chwili ma pan zamiar...

— Wątpię... odrzekł Adaś. O, gdyby pani wiedziała!...

I westchnął.

— Założmy się... zaproponowała pospiesznie Dynia, nie dając mu po westchnieniu przyjść do słowa.

— Dobrze... założmy się... odparł rezolutnie Adaś, rad takiemu angielskiemu obrotowi rzeczy. Ale o co?

— Ja stawię moję Fanny, a pan staw Welesleya. Fanny, była to klacz Dyni, Welesley ogier Adasia.

— Gruby zakład... rzekł Adaś, — ale, niech idzie...

— Daj pan rękę: jeżeli zgadnę, Welesley mój, jeżeli nie zgadnę, Fanny pańska...

Adaś podał rękę, w uścisku hrabianczynęj dłoni przeczuł dobrą jakąś dla siebie wróżbę, i pomyślał:

— Niech lichy porwie Welesleya!... byle zgadła... to mi drogę uprości.

— Pan myślałeś o oświadczeniu się o moję rękę.. Nieprawdaż? zapytała Dynia.

— Ach! prawda, pani!... zawołał Adaś. Przegrałem Welesleya, a z nim i moje serce!... Bierz pani i jego, i mnie!..

I całował Dynię z zapalem w rękę.

— Powoli!... powoli!... rzekła ta ostatnia, ze złośliwym na ustach uśmiechem. Tymczasem rozdzielmy: daj mi pan Welesleya, a siebie zostaw dla siebie. Nie chcę tak od razu pana ogołacać... Zostawmy coś na później...

— Pani mi robisz nadzieję... że... później... wyjął Adaś.

— O! panie Adamie, rzekła Dynia tonem patetycznym. Robię panu nadzieję, że później... będziesz się mógł oświadczyć...

— Więc mogę spodziewać się?...

— Możesz, a spodziewając się, zrób mi papieros. Adaś więc został z nadzieją.

Przyszła kolej na barona Alfreda. Z tym rzecz krótko się odbyła. Baron sam sprawę zagaił.

— Proponuję pani assycyacją...

— Jaką?... zapytała zagadnięta znienacka hrabianka.

— Mażeńską...

— Brawo!... zawołała Dynia wesoło.

— Jakże ją pani znajduje?

— Bardzo *à propos*...

— Więc niema żadnej objekcyi?... rzekł baron.

— Żadnej, wyjąwszy jednej, malutkiej, a tą jest: kwestya czasu, odparła Dynia. Pozwól mi, baronie, tą kwestyą rozporządzić dowolnie. Jak będę uważała że przyszedł czas, to sama panu zaproponuję assycyacją, i... *soyons bons amis*.

I podała mu zalotnie rękę.

— *C'est convenu*... odrzekł baron, ściskając jej dłoń z angielska.

Hr. Ryszard poprzedził oświadczenie dość długim o swojej otwartości wstępem, którego Dynia z cierpliwością wysłuchiwała.

— U mnie serce, mówił, na dłoni... Co czuję, to myślę, a co myślę, to mówię... A więc, pani, kocham panią!..

— O! *c'est grave*, rzekła Dynia z komiczną powagą.

- Więc pani przyjmuje to...
- Bardzo dobrze... przerwała hrabianka. W naszym zepsutym wieku miłość jest rzadkiem zjawiskiem. Witaj ją należy z zapalem, zegnac ze łzami...
- Zatém?... zapytał hr. Ryszard.
- Zatém... bardzo mi się podoba miłość hrabiego.
- Mogę więc liczyć na wzajemność?...
- Na jaknajzupełniejszą...
- Ach, panil!... droga Dynio!...

Tu przyklął hrabia na jedno kolano i porwał hrabiankę za rękę.

Dynia położyła palec na ustach, z giestem nakazującym milczenie, i nachylając się nieco ku hrabiemu, powiedziała półgłosem:

— Pst!.. hrabio!.. kochajmy się, ale platonicznie...

Wiem że jesteś zacnym i honorowym, a zatem musisz gustować w platonicznej miłości... A jak się tak już dość nakochamy, to potem... potem...

I podała mu rękę, którą hrabia z zapalem ucałował, klnąc się na honor, że gotów jest platonicznie kochać.

Po rozprawieniu się z ostatnim konkurentem, Dynia taką zdała przed ojcem sprawę:

— *Eh bien, cher papa...* wszystkich już moich dotychczasowych kawalerów wzięłam na kawecan...

Hrabia Wierzgalski odwalil wargi, powieki mu się nasunęły, sapnął, chrząknął i nic nie odrzekł.

Działo się to na rok z górą przed wypadkiem, jaki miał miejsce na nadworniańskim drodze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

#### KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Redakcyja Tygodnika Ilustrowanego otrzymała na kościół i klasztor pp. Maryawitek w Częstochowie: z kwesty w Lixnie rsr. 8 kop. 20 i od J. P. . . . „ 4 „ —

razem rsr. 12 kop. 20

która to kwota podług wskazania odesłana została. Podobnie na pomnik Bogusławskiego wpłynęło od J. L. rsr. 1, od A. K. rs. 1, — razem na ten cel rsr. 18 kop. 50.

#### SPROSTOWANIE.

W Nrze 59 Tygodnika Ilustrowanego, w trzeciej szpalcie wiersz 35 od dołu, zamiast: Karadza ginie od cięcia szabli Władysława. Śmierć wodza i t. d., ma być: Karadza ranny od cięcia szabli Władysława. Uciezka wodza i t. d.

## DONIESIENIA.

Znakomite wydawnictwo pod tytułem:

### GALERYA KRÓLÓW POLSKICH,

które z takim staraniem i własnym nakładem zaczął wydawać professor Jan-Feliks Piwarski, z powodu śmierci autora jest do kupienia na dalsze wydawanie. Pierwszy okład już wyszedł, a 400 jest jeszcze odbitych, siedm kamieni już gotowych do dalszego wydawania, reszta pozostaje do dokończenia, podług oryginalów robionych z portretów królewskich. Pożądaniem byłoby bardzo, aby tak pięknie zaczęte dzieło dostało się w ręce godne tak zaszczytnego wydania, przynoszące sławę wydawcy i pamiętkę krajowi. O warunki dowiedzieć się można przy ulicy Nowy-Swiat Nro 40 (nowy), dom p. Jenike, w dziedzińcu, trzecia sieni, na 1ém piętrze.

Tamże jest do nabycia **Kram malowniczy** kompletny w teczkach sto kilkadziesiąt egzemplarzy. Dla nabycia wszystkich egzemplarzy razem, odstępuje się duży rabat.

Dziela K. Wł. Wójcickiego p. n. **Historya literatury polskiej w zarysach**, wyszło już trzy tomy, czwarty w większej połowie ukończony w druku. Ogłoszwszy na takowe prenumeratę za cztery tomy rs 8 kop. 25 czyli złp. 55, mam zaszczyt zawiadomić czytającą publiczność, iż cenę takową utrzymuję tylko aż do wyjścia tomu IVgo; rozmiar bowiem ostatniego tomu obejmujący z górą 50 arkuszy ścisłego druku i nakład kosztowny, zmuszają mnie do podniesienia ceny po wyjściu całego dzieła do rs. 10. Tom ten, obejmując okres *Brodzińskiego* i *Mickiewicza*, doprowadzonym został do końca roku 1859 i ubogacony wypisami, które objętość pierwszego wydania o większą połowę rozszerzyły.

**G. Sennewald,**

Księgarz i Wydawca.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

### J. BŁASZKOWSKIEGO

obok gimnazjum, wyszedł już najnowszy poemat W. Pola pod tytułem: **Stryjanka, tradycya szlachecka Jm. pana Benedykta Winnickiego**. Nabyć ją można we wszystkich księgarniach, oraz na wszystkich stacyach pocztowych w Królestwie, po cenie rs. 1 kop. 80 (złp. 12). Nadsyłający z Cesarstwa rs. 2 pod adresem wydawcy, będą mieli odesłaną Stryjankę pocztą do miejsca wskazanego.

Zeszyt IV seryi 2ej dzieła pod tytułem: **Praktyczne budownictwo wiejskie**, przez Aleksandra Zabierzowskiego, wyszedł z druku, mieści w sobie domy mieszkalne dla włościan i kolonistów. Wydawnictwo to z powodu nieprzewidzianych okoliczności przerwane, kontynuować się będzie obecnie jak najregularniej w miesięcznych zeszytach. Skład główny tego dzieła tak dla pp. księgarzy jak i pojedynczych prenumeratorów w księgarni p. Michała Glügsberga przy ulicy Krakowskie-Przedmieście. Cena prenumeraty w Warszawie rubli sr. 10, z przesyłką do stacyi pocztowych w Cesarstwie i Królestwie rs. 12.

Przesyłający prenumeratę w kwocie rs. 12 pod adresem autora w Warszawie ulica Królewska Nr 1066 lit. s, otrzymywać będzie wychodzące zeszyty w kopertach na stacyi pocztowej przez siebie wskazanej.

Futro męzkie S Z O P Y, prawie nie używane, w najlepszym gatunku, krojem tak zwanym szuba, sukniem ciemno-zielonym kryte, na męzczyznę wyższego wzrostu, jest do nabycia, jako też skóra łosia duża na łóżko, koszula żelazna czyli zbroja szwedzka z dawnych czasów, flotrowers hebanowy ze srebrnymi klapami, lampy, szafa wielka rozbierana, z pół-

kami i okienkiem w środku, dobra na spizarnię, dwa kantorki niewielkie sosnowe, ojednej i o dwóch szufladach, okno podwójne innej budowy z dużą szybą w środku dla równego światła, serwantka sosnowa otwarta do książek, dwie pary prawideł do butów, stalugi do malowania, okulary i szkła powiększające, szkła rozmaite do miniatur, jako też papier i kość słoniowa, tusz, farby olejne i wodne, pendzle, cyrkle, palety, kreda litograficzna w butelkach, szkła do tarcia farb, książki w różnych językach szczególnie o sztuce, wzory Juliana Lafitte, Valerio, i inne dla uczni są do nabycia przy ulicy Nowy-Swiat Nro 40 (nowy), dom p. Jenike, w oficynie, trzecia sieni, na 1ém piętrze.

#### Poszukiwanie interesentów do znacznego procentu.

Pewien zakład życzy sobie dla większego rozprzestrzenienia swych czynności, posiadać adresy właścicieli dóbr i domów na prowincjach i mniejszych częściach kraju. Następcza to obszerne pole do działania i znaczne korzyści tak dla agentów, urzędników, jak i komwojażerów i t. d. — Bliższą wiadomość udzieli

**HAASENSTEIN i VOGLER**  
w Hamburgu.

### SYROP OWOGOWY (Extrait de Fruits).

ulgę przynoszący w chrypkach, kaszlach i w ogóle w słabościach piersiowych, wyrabiany z najlepszych owoców południowych, codziennie świeży sprzedaje się w cukierni Roberta Wisnowskiego, przy ulicy Długiej Nr 585 w hotelu Polskim.



### SKŁAD HERBATY

## WSIEWOŁODA ISTOMINA.

#### ZA WIADOMIENIE.

Przy coraz więcej upowszechniającem się używaniu w kraju tutejszym herbaty, której odbył ze składu mojego powiększa się z każdym rokiem, zamierzylem skutecznie w czasie bieżącego lata wycieczkę do tych miejsc, gdzie mieszkają główni pośrednicy hurtownego handlu herbaty, i od nich zakupilem herbatę *Fuczańską*, z ostatniej wymiany. Tu winniem napomknąć, że sprowadza się także z prowincyi Szan-gajskich herbata kwiecista drogą morską do portu St. Petersburgskiego, wymieniają przez Kompanię Amerykańską. Chociaż pozorem swoim ta herbata nęci kupującego, ale co do smaku znacznie jest niższą od gatunków czarnych Fuczańskich.

Nazwiska gatunkowe herbaty znane są tylko handlującym z Kiachtą; ogłaszane zaś w cennikach innych kupców nazwy gatunków, zupełnie są dowolne. Wartość herbaty zależy od miejscowości i urodzaju. Niniejszy mój cennik ułożyłem jedynie na zasadzie rozgatunkowania, dopełnionego w Kiachcie, z pomiędzy uznanych za najlepsze gatunków herbaty, przy ostatniej wymianie.

#### CENNIK HERBATY FUCZAŃSKIEJ

sprowadzanej lądem przez Rossyję i przedawanej podług cen stałych w Magazynie Poczestnego Obywatela W. M. ISTOMINA, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w domu przechodnim Rezlera pod Nr 451, w Warszawie.

HERBATA CZARNA.				HERBATA KWIECISTA.				HERBATA ZIELONA.	
San-sinska-Tian-czeńju	za funt	Rsr.	1 kop.	Ju-taj-czo i inne rodzaje	za funt	Rsr.	3 kop.	Funt jeden	od 6ciu do 10ciu rub. sr.
Familijna-Sin-tun-taj	—	—	80	Szy-lucha	—	—	60	Funt jeden od 6ciu do 15tu rub. sr.	
Chumny Myjutan-Tasinij i inne gatunki	—	—	2	Cha-szen-czu-an bukiet	—	—	4		
Chumny czerwonawy Kofyn-ju-an	—	—	25	Liansin Wan-sun-czo	—	—	5	Funt jeden od 6ciu do 15tu rub. sr.	
Chumny błękitny Szo-dzun (dla amatorów)	—	—	50	Liansin Sin-fa-jun, aromatyczny	—	—	6		

Osoby życzące mieć sobie dostarczoną herbatę z mojego magazynu przez pocztę, nie za przesyłkę nie płacą, lecz opłacają tylko przesłanie pieniędzy, tak w Królestwie jak i w Cesarstwie. — Nie obiecuję, jak inni handlujący herbatą, odstępować procent i dodawać rabaty, ale natomiast przedawać będę towar sumiennie i za dobroć gatunku zarezczęm. — Dla osób zamieszkałych na prowincyi starać się będę wysłać herbatę przez pierwszą odchodzącą pocztę, upakowawszy w mocne skrzynki, dla zabezpieczenia od uszkodzenia w drodze. — Dla kupujących całemi cybikami, herbata dostarczona będzie zupełnie w takim samym stanie, w jakim odebrana została z Chin. — Osobom zamieszkałym na prowincyi, herbatę na Rsr. 1 kop. 50 i na Rsr. 1 kop. 80, magazyn nie odsyła franco, lecz na koszt wypisującego. Uprasza się o wyraźne wypisywanie swego adresu i miejsca pobytu. — Herbata wydaje się z mojego magazynu w paczkach jedno-funtowych, pół-funtowych i ćwierć-funtowych, opatrzonych stemplem wyciśniętym na ołowiu, a cena i waga herbaty wydrukowana jest na samej paczce.

Poczestny obywatel **Wsiewołod syn Maxyma Istomin.**

W Drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 5 (17) listopada 1860 r. — Starszy cenzor, F. Sobieszczański.

Redakcyja przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w domu PP. Wizytek Nr 391.